

Alexa
Prawo robotyki
CYKL: STAR WARS

ALEXA
PRAWO ROBOTYKI
CYKL: STAR WARS

Rozdział 1

Wyrok.

Kiedy Darth Vader po raz pierwszy potknął się i ukląkł na jedno kolano na schodach wiodących do sali tronowej Imperatora, był na szczęście sam. Nikt nie widział jego niezręczności, nikt nie słyszał jęku, gdy potężny, promieniujący ból przeszył jego czaszkę.

Vader nie był przyzwyczajony do słabości - na pół mechaniczne ciało funkcjonowało prawidłowo, drobne usterki usuwał sam lub z pomocą technika, któremu następnie usuwał wszystkie wspomnienia dotyczące naprawy.

Ostatnio jednak najdokładniejsza nawet regulacja nie była w stanie skompensować dziwnej lekkości głowy i bólu, jaki zaczęły mu sprawiać zwyczajne ruchy. Początkowo próbował czerpać z Mocy, aby uśmierzyć ból, potem, po raz pierwszy od dwudziestu lat, wsunął do specjalnego korytka na ramieniu zbroi ampułkę ze środkiem przeciwbólowym. Używał go tylko na początku, kiedy blizny i zrosty były jeszcze świeże, a on uczył się chodzić w nowym ciele. Potem blizny stwardniały, a on przyzwyczał się do niewielkiej niewygodności na styku ciała z maszyną.

Tym razem również pomogło, choć po skończeniu jednej ampułki musiał założyć drugą. Potem trzecią.

Rana zadana mu przez Luke'a Skywalkera nie zagoiła się szybko, jak zwykle, lecz jątrzyła się przez kilka tygodni, sprawiając mu ból, na który nie pomagała nawet bacta.

Potem przyszły kłopoty ze wzrokiem.

Nie przejął się nimi, składając je na karb rozregulowanej optyki hełmu. Skorygował ją bez trudu, ale kiedy zdejmował hełm, problem powracał.

Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Druga Gwiazda Śmierci czekała na ukończenie, plan gonił. Być może konieczny był remont generalny wszystkich mechanizmów, ale na to Vader w tej chwili nie miał czasu.

Dlatego teraz postanowił raz na zawsze załatwić sprawę i, zamiast do sali tronowej, gdzie Imperator Palpatine przekomarzał się z księciem Xizorem i wcale go nie potrzebował, skręcił w stronę prywatnego skrzydła medycznego.

Wszedł do jasnego niebieskiego korytarza i podał kod dostępu robotowi dyżurnemu. Skrzydło to przeznaczone było wyłącznie do jego dyspozycji, ale w wolnych chwilach przyjmowano tu również wyższych oficerów.

Rozejrzał się dyskretnie. Tylko tego brakowało, żeby się rozniosły jakieś plotki.

W tej chwili - na szczęście - nie było tu nikogo.

Dawno tu nie był... Po raz ostatni chyba jakieś dziesięć lat temu, kiedy Imperator w ataku wściekłości... o co wtedy poszło? Nie pamiętał... Ukarzał go snopem błyskawic Ciemnej strony tak silnym, że przebił zbroję i zranił go w pierś.

Dawno... a jednak powitał go ten sam, lekko skrzywiony uśmiech Yaro lekarza i pełne lęku, ale przyjazne spojrzenie pielęgniarki. Tylko ona się zmieniła - Yaro zawsze otaczał się pięknymi dziewczętami, które nie obawiały się niebezpiecznych pacjentów.

Ta była wyjątkowo piękna. Przypominała mu... kogoś. Nie wiedział, kogo. Długie, miękkie włosy barwy pośredniej między ciemnym blondem a dojrzałym miodem, twarz w kształcie serca, bursztynowe oczy...

- Coś nie w porządku, Milordzie? - zapytał Yaro, dając jej znak. Dziewczyna wyszła z pomieszczenia, zerkając na niego przez ramię.

- Nie wiem... być może - odparł Vader. - Zakręciło mi się w głowie. Pewnie jakaś drobnostka.

Yaro uśmiechnął się blado.

- To się zdarza, Milordzie... Jeśli pan tak starannie omija to miejsce - westchnął i włączył komputer diagnostyczny. Robot medyczny, który tutaj służył wyłącznie jako pomocnik, podtoczył się natychmiast i wsunął końcówkę do terminala. Yaro odegnał go niecierpliwym gestem.

- Megan to załatwi - rzekł.

Dziewczyna wróciła, niosąc całą tacę różnych końcówek diagnostycznych. Miała bardzo kompetentną minę. Odstawiła tacę na stolik i wskazała Vaderowi miejsce na leżance. Jedną ręką przyciągnęła do siebie czujnik, drugą włączyła układ monitorujący.

- Na co pan czeka? - zapytała łagodnie. - Proszę się rozebrać i położyć.

- Milordzie - odpowiedział jej Yaro.

- ...Milordzie - zgodziła się uprzejmie.

Lord Sith zadowolili się odpięciem peleryny. Rzucił ją na krzesło.

Megan odłożyła wszystko i z łagodnym uśmiechem przechyliła głowę.

- Chyba muszę panu pomóc - westchnęła.

- ...Milordzie - wtrącił znowu Yaro.

- ...Milordzie.

Vader pozwolił, aby jej delikatne palce wyłuskały go z hełmu i zbroi. Ani mrugnęła na widok jego straszliwych blizn. Lekko przesunęła dłonią po nabrzmiałym, zaczerwienionym i dziwnie bolesnym miejscu, gdzie żywe ciało łączyło się z mechanizmem.

Podniósł na nią wzrok i ujrzał w jej oczach smutek. Zamrugał oczami. Bez hełmu widział bardzo źle, ale jej cudowne, miodowe włosy i bursztynowe oczy...

- Proszę się położyć, Milordzie. I proszę się tak nie rozglądać, nikt tu nie wejdzie. Zamknęłam całe skrzydło.

Posłusznie ułożył się na leżance, a ona delikatnie pomogła mu przybrać wygodną pozycję. Ustawiła czujnik i zaczęła ostrożnie wodzić nim po całym jego ciele. Yaro ścigał odczyty i przetwarzał je w komputerze.

Vader skrzywił się, kiedy pobrała mu kilka próbek tkanki, ale... Był zdumiony, jak wielkie wrażenie na nim wywarła.

Zdjęła mu maskę, odłączyła respirator, podłączając inny, przenośny. Starannie, miejsce po miejscu, dotykała czujnikiem jego czaszki, szyi i gardła.

- Tunel - poleciła.

Robot medyczny podtoczył się i zamigotał lampkami. Z sufitu spłynął podłużny kształt, który przykrył Vadera i leżankę jak wieko sarkofagu.

To badanie trwało znacznie dłużej, niż poprzednie i Vader zaczął się już irytować. W chwili, kiedy miał zamiar Mocą zrzucić z siebie aparaturę, wieko uniosło się.

Jego miejsce zajął ciepły koc, którym Megan przykryła go aż po szyję. Yaro wstał od komputera i ruchem głowy pokazał jej, że ma wyjść.

Vader obserwował, jak dziewczyna odchodzi. „Ma ładny chód...” pomyślał. Do licha, odkąd to zaczął myśleć o dziewczynach? Chyba rzeczywiście jest chory.

- Milordzie... - zaczął Yaro dziwnym tonem.

- Tak? Czy mogę już się ubrać, czy jeszcze będziesz mnie męczył?

- Odpowiedź brzmi „Nie” na oba pytania, sir - odparł lekarz. - Zostaje pan tutaj.

Spojrzał na niego gniewnie.

- Mam nadzieję, że to żart. Niesmaczny żart, Yaro.

- Nie, Milordzie.

- Nonsens - usiadł na leżance i powoli opuścił nogi na podłogę.

- Milordzie, pan umiera. Nieodwołalnie.

Znieruchomiał. Powoli zwrócił ku lekarzowi obwieszoną czujnikami głowę.

- Co?

- Zostało panu może dwa miesiące życia. Życia w straszliwych cierpieniach, Milordzie. I tylko tutaj możemy panu ulżyć.

Vader powoli odpiął respirator i zaczął zakładać własny. Naturalnie, nie mógł przez ten czas mówić, ale skoro tylko odetchnął ponownie, zapytał:

- Co mi jest?

Yaro pokręcił głową.

- Jest tak: w głowie ma pan guz, który przeżarł już panu pół mózgu. Tylko mechaniczna regulacja sprawia, że jeszcze pan tego nie odczuwa zbyt dotkliwie. Przerzuty są już wszędzie, naturalna odporność pańskiego organizmu spadła, połączenia z wszczepami zaczęły się zaogniać i ropieć. Jeszcze kilka tygodni i... proszę mi wybaczyć to określenie, rozleci się pan w szwach.

Vader sięgnął po górną część zbroi. Przedramię ze sztuczną dłonią ostrzegawczo zapulsowało bólem.

- Czy nic nie można na to poradzić? - zapytał cicho.

- Nie.

Dwa miesiące. Nie bał się śmierci, nie wierzył w nią. Nie po tamtej kąpieli w wulkanie. Imperator mu pomoże... Tak, jak wtedy.

Zerwał się z miejsca i opadł z powrotem, przeszyty potwornym bólem. Powoli, korzystając z Mocy, oczyścił umysł z cierpienia i zablokował nerwy. Drgnął nagle. Dawno nie korzystał z Mocy w ten sposób, a teraz przyszło mu to zupełnie odruchowo.

- Nigdzie pan nie pójdzie, Milordzie - rzekł cicho Yaro.

- Imperator...

- Imperator panu nie pomoże. Sam potrzebuje pomocy. Zżera go ta sama choroba, co pana. Ciemna Strona Mocy. Ale on przynajmniej ma własne ciało.

Vader lekko poruszył dłońmi. Więc to nie złudzenie, nie awaria mechanizmu, że czasami precyzyjny gest chybiał o milimetr, o dwa... o centymetr. To nie przypadek, że ciało wokół wszczepów boli i puchnie, że stare blizny, tak twarde i mocne, nagle zrobiły się wrażliwe na dotyk i miękkie.

- Skąd wiesz, że chciałem do niego iść?

- Wyczułem to.

- Jesteś Jedi? - zaśmiał się ironicznie Sith.

- Do Rady pewnie by mnie nie przyjęli, ale można tak powiedzieć, Milordzie.

Vader wyprostował się ostrożnie. Jeśli pamiętał o tym, ból był do zniesienia.

- Pod samym nosem - mruknął oschle. - Cóż, gratuluję ci, Yaro. Tyle lat... powinienem cię zabić, wiesz?

- Wiem, sir. Ale bez tego nie mógłbym pomóc ani panu, ani Imperatorowi, kiedy i na niego przyjdzie pora.

Lekarz podszedł bliżej. Był niższy od Mrocznego Lorda, sięgał mu zaledwie do ramienia. Wyciągnął dłoń i chwycił rękę Vadera na wysokości przedramion. W oczach miał błaganie.

- Proszę zostać, Milordzie - powiedział cicho. - Oczywiście, nic nie mogę panu nakazać, ale... Ja... chciałbym, żeby pan tu został. Mogę panu ulżyć w cierpieniu, mogę...

Vader zaśmiał się sucho, ironicznie. Delikatnie uwolnił się od uchwytu - i z jękiem opadł na leżankę. Nagle zrozumiał, że to koniec.

- Nie ma ratunku... - szepnął z lekkim zdumieniem. - A co będzie z Gwiazdą Śmierci? Kto pokieruje jej budową? Co z Rebelią? Jeśli umrę, kto dokończy tego dzieła? I jak to wpłynie na morale Imperium?

Yaro uważnie wpatrywał się w Mrocznego Lorda.

- Tylko o to chodzi? - wzruszył ramionami. - Też mi problem. Zamówią robota, ubiorą w pańską zbroję i będzie, jak dawniej.

„A co z moim synem?” chciał zapytać Vader, ale nie miał siły. Zwiesił głowę, pokonany.

Yaro miał rację. Tyle, co on, potrafi pierwszy lepszy robot.

Bez słowa położył się na leżance i odetchnął z ulgą, kiedy odciążony kręgosłup przestał mu dokuczać. Twardy, sztywny kombinezon wypadł mu z mechanicznej dłoni.

- Mój syn... - szepnął. - Mam syna...

Yaro pochylił się nad nim. Oczy miał czujne, badawcze.

- Nareszcie zaczyna pan mówić jak człowiek, Milordzie.

Vader chwycił go za ramię, przyciągnął do siebie. Kosztowało go to sporo wysiłku, ale był zdesperowany

- Weź moją tkanę... Chyba mam jeszcze trochę zdrowej tkanki? Sklonuj moje ciało... Robiłeś to już nieraz, ty łotrze. Wiem, że potrafisz.

Teraz to Yaro delikatnie uwolnił się z uchwytu jego dłoni.

- Klonowanie jest zakazane - rzekł z widoczną urazą. - Zresztą, nie ma już czasu, sir. Klon musiałby rosnąć około ośmiu lat, żeby przyjąć pański mózg... Nie ma pan tyle czasu. Zresztą, pana choroba tkwi właśnie w mózgu... - urwał nagle, zmarszczył brwi. - Milordzie... chwileczkę.

Odszedł na chwilę na bok, wziął jedną z próbek pobranych z ciała Vadera i szybko wsunął do analizatora. Aparat piknął kilkakrotnie na znak, że pracuje.

Yaro westchnął. Wydawało się - przynajmniej Vaderowi - że walczy sam ze sobą, jakby musiał coś zrobić wbrew woli. Sięgnął do czytnika i spojrzął na wynik.

Przymknął oczy, znów je otworzył, lekko pokręcił głową.

Bardzo powoli, niepewnym krokiem wrócił do leżanki i przysunął sobie stołek.

- Jest pewien sposób, milordzie - powiedział ostrożnie. - Gdybym nie był lekarzem, pewnie nigdy bym go panu nie zaproponował, ale nim jestem. Mam obowiązek... Słyszysz pan, Milordzie? Mam obowiązek pana ratować, cokolwiek sam o tym myślę. Sprawdziłem pański poziom midichlorianów. Dziwne, powinien zmaleć do zera, ale pozostał taki sam. Cóż mogę powiedzieć?

Przy takiej liczbie midichlorianów wszystko jest możliwe. Jest pan Jedi, ja jestem Jedi... Ma pan szansę. Ale ryzyko jest ogromne.

Vader uniósł się na łokciu. Z odsłoniętą twarzą, porytą potwornymi, ropiejącymi już bliznami, wyglądał nie na Mrocznego Lorda Sithów, ale na to, kim był w istocie - na ciężko, śmiertelnie chorego człowieka, który bardzo potrzebuje pomocy.

Co to powiedział Yaro? Ciemna Strona Mocy zżera? Nie daje potęgi, lecz zżera jak rak. Razem z rakiem. Koroduje ciało i duszę...

Yaro nazwał go Jedi... On nie jest Jedi! Jest Sithem... Ale życie Sitha właśnie dobiega końca. Człowiek-maszyna rozleci się w kawałki i Ciemna Strona Mocy nie zdoła tego powstrzymać.

Yaro pochylił się nad nim, położył mu dłoń na czole, zmusił do leżenia.

- Milordzie... - szepnął. - Może mnie pan teraz zabić. Ma pan pełne prawo. Popełniłem przestępstwo wobec Imperium, ale uratuję pana... Tylko wówczas, jeśli mi pan pomoże... Dziesięć lat temu popełniłem potworną zbrodnię i najwyższy czas, aby się pan o tym dowiedział, choć miało to pozostać tajemnicą. Teraz będę błagał pana o wybaczenie i jako dowód skruchy zaproponuję panu życie. Ryzyko jest ogromne, niewyobrażalne, ale istnieje szansa, aby pan żył i odzyskał ciało.

Vader przymknął oczy, czując kolejny nawrót mdłości.

- Przecież mówiłeś, że na klonowanie jest za późno.

Yaro pokręcił głową.

- Tak - jeśli teraz pobiorę panu tkankę i zechcę hodować kлона. Nie - jeśli klon już jest.

Sith zmrużył oczy. Kiepsko widział, ale nie na tyle, żeby nie widzieć ogromnego wzruszenia w oczach starego lekarza.

- Chcesz powiedzieć, że masz mojego kлона?

Yaro powoli skinął głową.

Vader przymknął oczy. Klon. Ciało. Niezależność od Imperatora. Zdrowie. Syn. Luke. Luke Skywalker, syn Anakina Skywalkera. Jego syn.

- Mów - szepnął, zadowolony, że tamten nie próbuje się z nim targować o życie. Jako Jedi nie musiał tego robić...

- Kiedy był tu pan po raz ostatni, sir, należałem do spisku. Pobrałem pana tkankę i sklonowałem. Spisek miał na celu zabicie pana, ale ponieważ nie miał pan potomstwa... Taki poziom midichlorianów nie powinien ulec zmarnowaniu.

Vader zamrugał oczami. Wciąż nie rozumiał, jak wcześniej na to nie wpadł.

- Zrobiłeś kлона? Mojego kлона?

- Tak - Yaro wyprostował się. Nie wiedzieć czemu, nagle przywiódł Vaderowi na myśl Kenobiego. - Pan miał zginąć, a pański klon miał posłużyć jako zaczątek nowego zakonu Jedi.

Vader poczuł, jak wzbiera w nim gniew i już miał podnieść dłoń, żeby udusić bezczelnego lekarza, kiedy przypomniał sobie, że ten sam klon i ten sam lekarz być może stanowią o jego życiu.

Uśmiechnął się blado.

- Miałeś fatalnych informatorów, Yaro. Mam syna. Wspaniałego syna - odparł z dumą. - Anakin Skywalker nie umarł bezpotomnie.

Yaro uśmiechnął się także, ciepło, prawie jak przyjaciel.

- Wiem, sir. Miałem zniszczyć tego... kлона, ale pomyślałem sobie, że kiedyś być może zechce pan odzyskać ciało i opuścić tę niezdrową okolicę. Nie przewidziałem guza na mózgu, inaczej przeszczep byłby kwestią parogodzinnej operacji.

- A teraz? Mówiłeś, że masz rozwiązanie?

Yaro westchnął.

- Mam. Nie sprawdzone, nie przetestowane nawet na myszach, bo myszy nie potrafią używać Mocy, ale mam. Mózg Dave'a jest już dojrzały, można przenieść doń pańskie wspomnienia, wiedzę, osobowość... wszystko. Nie wiem, czy się uda, ale w najgorszym wypadku zostanie pan dwudziestopięcioletnim noworodkiem.

- Ma na imię Dave? - Vader skrzywił się lekko. Niezwykłe - jak na człowieka, który zamordował w męczarniach setki istot, czuł dziwną niechęć do wykorzystania ciała klona. - Czy on... wie, co go czeka?

- Nie. Nie ma w sobie więcej życia i rozumu niż embrion. Nazwałem go Dave, żeby go jakoś nazywać. Dave R. Anagram pańskiego nazwiska, sir.

Sith pokiwał głową i skrzywił się lekko

- Czy to możliwe, żeby choroba zaczęła postępować tak szybko? Każdy ruch sprawia mi ból - szepnął.

Yaro podniósł z podłogi porzucony kombinezon-zbroję i odrzucił daleko w kąt.

- Tak. Przedtem był pan w stanie regulować samopoczucie mechanizmami, środkami odżywczymi, składem powietrza, teraz jest pan sam. Czas zaczął płynąć szybciej... przynajmniej dla pana. Choroba nadrabia zaległości... Z każdą chwilą będzie panu trudniej oddychać, myśleć, mówić. Aż wreszcie... może jutro, może pojutrze, będzie za późno nawet na przeniesienie umysłu. Czy decyduje się pan?

Vader pokiwał głową.

- Tak. Już. Teraz. Niezależnie od konsekwencji.

- Dobrze, proszę leżeć i postarać się wprowadzić w trans Jedi. Ja pokieruję procesem.

Szybkim krokiem podszedł do konsoli i przycisnął klawisz.

- Megan? Przywieź Dave'a.

Rozdział 2. Przebudzenie.

Leciał ponad zieloną doliną, porośniętą z rzadka delikatnymi, złocistymi krzewami. W dali lśniły śnieżną bielą szczyty wysokich gór, pod jego stopami różowe skały pluły srebrzystą, lśniącą pianą. Rozkoszował się tym lotem, napawał myślą o tym, że wkrótce wyląduje, zanurzy się stopami w zielonej, zielonej trawie, a potem, po kolana w drobnych kwiatkach, pobiegnie ku domowi...

Kobierzec trawy ruszył mu na spotkanie z niesamowitą prędkością i Anakin czuł, że spada. Nie wiedział, czy to skrzydła/lotnia/statek odmówiły mu posłuszeństwa, czy nigdy ich nie było, a on spadał, bo został zestrzelony.

Zawrót głowy, ból...

Pod powiekami wciąż jeszcze miał promienie słońca. Uchylił powieki i blask poraził go. Na twarzy czuł ciepło, ale nie słyszał szumu wody. Powinien pod dłońmi mieć zmiążdżoną trawę... Jeśli w ogóle czuje, jeśli ten upadek nie sparaliżował go całkiem...

Poruszył palcami. W pierwszej chwili odniósł przerażające wrażenie, że palce go nie słuchają, ale już po chwili, jakby z ogromnej odległości, dotarło do niego wrażenie dotyku... czegoś śliskiego, gładkiego...

- Milordzie?

Zmarszczył brwi. Milordzie? Ktoś go tak nazywał... Ale kto? I dlaczego?

- Powinien już się ocknąć - rozległ się łagodny kobiecy głos. - Nie wiem, co się dzieje.

Padme?

- Padme... - wyszeptał.

Ale nie, to nie może być Padme... Dlaczego? Padme... nie żyje?

Nie żyje. A on nie nazywa się Anakin Skywalker, tylko Darth Vader i leży w szpitalu, czekając na śmierć.

Dlaczego nic go nie boli? Może już umarł? Dlaczego ma takie problemy z zebraniem myśli?

Otworzył oczy.

Tym razem światło było znacznie łagodniejsze, zalewało pokój i jego twarz ciepłą falą. Spojrzał w górę, w dół. Bał się poruszyć głową. W dole widział jednolity, zielony krajobraz... nie! Jaki krajobraz? Widział ludzkie, nagie ciało przykryte zielonym, puszystym kocem. Ciało? Jego ciało... Chyba tak, przecież nie mógłby z tej perspektywy oglądać nikogo innego. Zdziwił się, że jeszcze jest cały, że się nie rozpadł. Pod kocem widać było kontury ludzkiego ciała... Ludzkiego? A gdzie jego rozrusznik serca, gdzie respirator?

Odruchowo obrócił głowę i ujrzał plecy kobiety w jasnozielonym kombinezonie pielęgniarki. Zdziwił się, że nie czuje znajomego ocierania kołnierza aparatury podtrzymującej życie, ale odniósł wrażenie, że jeszcze przez jakiś czas będzie się dziwił.

Znów poruszył palcami i zaobserwował ten ruch na kocu. Przesunął dłoń w bok i jego palce dotknęły nagiego ciała, co zgadzało się z jego poprzednim wrażeniem. Nie maszyny, nie kabli, lecz ciała. Jednocześnie poczuł łaskotanie w okolicy uda.

Przesunął dłoń w drugą stronę, aż wynurzyła się spod koca i przez chwilę nie wiedział, dlaczego jest taki zdziwiony widokiem delikatnej, męskiej ręki o krótko obciętych, różowych paznokciach.

Dopiero potem sobie przypomniał...

Powinien widzieć czarną rękawicę sztucznej dłoni.

Pielęgniarka usłyszała ruch i obejrzała się.

- Obudziłeś się... Obudził się pan, Milordzie?

Była piękna. Vader chłonał ją wzrokiem. Kogoś mu przypominała... Kogo? Pochyliła się nad nim... Właśnie. Matka. Była odrobinę podobna do jego matki, ale dużo młodsza, bardziej świeża, delikatna... pachnąca...

- Megan... - przypomniał sobie jej imię. - Co się stało?

- Udało się, Milordzie - odpowiedziała ciepło. - Ma pan nowe, zdrowe ciało.

Uśmiechnął się lekko. O, tak, czuł się zdrowo... Jak dawno temu, kiedy jeszcze... kiedy jeszcze...

- Może pan mieć kłopoty z koordynacją ruchów, przypomnieniem sobie wszystkiego od razu, ale transfer osobowości przebiegł prawidłowo, choć... - urwała, przygryzła wargi.

- Choć? - zachęcił ją, zachwycony brzmieniem własnego głosu. Własnego... to było jak muzyka.

- Tamto ciało umarło... przed zakończeniem transferu. Yaro musiał sztucznie podtrzymywać je przy życiu, żeby przeniesienie było całkowite. Odpoczywa teraz.

- Gdzie ono jest?

- Usunęliśmy je zgodnie z przewidzianą wcześniej procedurą i zawiadomiliśmy Imperatora, że pozostaje pan na kilka dni w szpitalu. Musi pan nabrać sił, Milordzie.

- Nie nazywaj mnie tak - odrzekł i wzdrygnął się lekko. Czuł, że wszystko, co dotyczy Imperatora, budzi w nim dziwną odrazę. W pierwszej chwili miał ochotę spytać, czy „transfer” nie był przypadkiem wybiórczy, czy ktoś nie odfiltrował jego lojalności do Palpatine’a, ale po minucie już wiedział, że nie. Był zdrowy. Jego ciało nie miało żadnych mechanicznych implantów, niczego, co zawdzięczałby Imperatorowi. Normalna reakcja kogoś, kto przez dwa dziesiątki lat czerpał swą siłę z mrocznego źródła, a teraz nagle przestał jej potrzebować. Poczul się czysty, wolny. Już nie musi słuchać swego mistrza. Nie musi słuchać nikogo. Nikt mu nie odbierze rąk, nóg, serca...

Nie był pewien, czy ten stan utrzyma się dłużej, czy pierwsza rozmowa z Palpatine’em nie zniszczy tej delikatnej równowagi, w jakiej znajdował się w tej chwili. Przypomniał sobie sen o zielonej dolinie. Czy to możliwe, żeby sam tak pokierował transferem informacji? Żeby instynktownie odsunął od siebie Mistrza Sithów i jego nauki?

Przypomniał sobie, że to Palpatine właśnie wyciągnął do niego dłoń, kiedy odepchnęli go wszyscy inni. Otoczył go opieką... Czy może pielęgnował go jak skuteczne i potężne narzędzie, które kiedyś będzie mu wiernie służyło?

Powoli przesunął dłoń wyżej, zgiął ją w łokciu, naprężył. To, co przedtem przychodziło mu z łatwością, teraz stanowiło problem, ale zdołał lekko unieść bark. Megan błyskawicznie przyszła mu z pomocą i podparła go ramieniem, zanim łóżko nie przystosuje się do nowej pozycji pacjenta.

Poczul ciepło promieniujące z jej ciała i stwierdził, że czuje się aż nadto dobrze... Szybko oparł się o nią nieco mocniej i usiadł, zadowolony, że jest zajęta regulacją oparcia.

- Może pan czuć zawroty głowy, brak koordynacji ruchów, drżenie mięśni, trudności z wykonywaniem najprostszyc czynności. Ciało było systematycznie stymulowane, ale mięśnie nie rozwijają się bez normalnego ruchu.

Otulił się kocem i spojrzal na nią z wyrzutem. Czemu jest taka chłodna i rzeczowa?

- Co straciłem, a co zyskałem? - zapytał, modulując głos tak, aby zabrzmiało to jak żart. Po latach wspomagania przez vokoder samo mówienie było rozkoszą.

Zmierzyła go wzrokiem i lekko potrząsnęła głową. Chyba nie podzielała jego entuzjazmu.

- Stracił pan kilkanaście centymetrów wzrostu..

- Obcieliście mi nogi? - udał przerażenie.

Nareszcie się roześmiała.

- Nie... Dave był pańskiego naturalnego wzrostu w wieku dwudziestu pięciu lat. Nie ma pan już swej nadludzkiej siły, w starym kombinezonie będzie pan wyglądał trochę... dziwnie, żelazna siła mięśni... cóż, jak ją pan sobie wyrobi, to pewnie wróci. I przykro mi ogromnie, ale stracił pan również swój czarujący image...

Podetknęła mu pod nos lusterko. Zwykle, damskie lusterko.

Vader spojrział i - omal nie zemdleł. Ujrzał w nim swoją przeszłość... na kilka dni przed potyczką z Kenobim.

Dotknął dłonią policzka, wyczuł na nim słaby zarost. Do licha, nie golił się od...

Coś uparcie łaskotało go w ramiona. Sięgnął tam dłonią i stwierdził, że ma włosy do pół pleców. Jasne, prawie białe loki. Jeszcze wilgotne od cieczy fizjologicznej, w której pływało ciało klona.

Pytając spojrział na Megan.

- Nie zdążyłam - uśmiechnęła się znowu. - Mogę je obciąć teraz.

- Za chwilę - zbył ją niedbałym gestem dłoni. - Co jeszcze? Czym jeszcze muszę zapłacić za moje nowe życie?

Wstała z leżanki i podeszła do szafki, przy której zobaczył ją po przebudzeniu. Była drobna, delikatnej budowy. Kiedy stanął za nią, musiał wesprzeć się na jej ramieniu, bo nogi pod nim drżały, pomimo, że zrobił tylko dwa kroki. Łagodnie odwrócił ją ku sobie.

- Co jeszcze?

Oczy miała bursztynowe i pełne lęku. Nie widział go u niej przedtem, kiedy spoglądała w czarną maskę.

- To zależy od pana... Milordzie. Czym jest pan gotów zapłacić i za co?

- Co z Mocą? - zapytał. - Czy wciąż jestem... Jedi?

Poruszył się zbyt gwałtownie i pociemniało mu w oczach. Natychmiast poczuł wokół siebie jej ramiona, a kiedy pole widzenia rozjaśniło mu się z powrotem, stwierdził, że siedzi na stołeczku.

- Hej, spokojnie - odpowiedziała, otulając go kocem.

- Czy jestem Jedi? - powtórzył.

- Jedi... Tak - odparła spokojnie. - Poziom midichlorianów nie uległ zmianie. Szkolenie przeszło wraz z resztą osobowości. Tak... jesteś Jedi.

Nagle zaczęła mu mówić „ty”. Chyba nigdy nie miała przekonania do „Milorda”. Zauważyła to i przygryzła wargę.

- Przepraszam... Milordzie, ale to ja cały czas doglądałam i pielęgnowałam Dave'a... Czuję się tak, jakby to on wyszedł z kadzi i zaczął się zachowywać jak normalny człowiek.

- Nie szkodzi. Z tego, co mówisz, nie jestem już Lordem Vaderem. Nie takim, jakim stworzył mnie Imperator. Co teraz?

- Dave... - usiadła na jego leżance i nagle w jej oczach pojawiły się łzy. - Przepraszam...

Otarła je wierzchem dłoni, jak dziecko. Pociągnęła nosem i przez moment udawała, że się nic nie stało, odwracając twarz ku ścianie. Potem się rozplakała.

Wstał z miejsca, tym razem powoli, owijając się w koc jak w togę. Podeszedł do niej, usiadł obok i objął ją ramieniem.

„Co się ze mną dzieje?” pomyślał. „Powiniennem ostro przywołać ją do porządku. W końcu to tylko klon i do tego nielegalny. Powiniennem wezwać strażę i aresztować ich oboje, ją i Yaro. On jest Jedi, razem planowali spisek... A ja się zachowuję jak gówniarz. Czy te lata spędzone w skórze

Vadera można zrzucić jak kombinezon?”

Na samą myśl o tym, że mógłby teraz ją zabić, ujrzyć jej twarz posiniałą z braku tlenu, krew na ubraniu i włosach... Zrobiło mu się niedobrze. Gdyby miał pełny żołądek, chyba by zwymiotował.

- Megan... posłuchaj - szepnął, usiłując zajrzeć jej w twarz. - Powiedz mi, co miałaś na myśli, mówiąc o cenie, jaką jestem gotów zapłacić? Czego ode mnie chcecie?

Cofnęła się, znów otarła oczy.

- Nie wiem, dlaczego poświęciłam Dave'a dla pana, Lordzie Vader. Powinnam była go zabić. Przez moment wyobrażałam sobie, że to on, ale szybko się ocknęłam. Głupie mrzonki, Lordzie Vader. Proszę się odwrócić, ogolę pana i obetnę włosy. Choć może powinnam pozwolić, żeby zrobił pan to sam i wypalił sobie oczy!

- Żałujesz, że się udało? - zdziwił się.

Spojrzała na niego jak na glistę.

- Żałuję? Tak, lordzie Vader, żałuję. Teraz, kiedy ma pan własne ciało, kiedy jest pan tak zdrowy, jak każdy inny młody człowiek, będzie pan jeszcze gorszy. Kalectwo nauczyło pana pokory, przynajmniej wobec nielicznych. Teraz... - urwała. - Gdybym mogła, zabiłabym pana, lordzie Vader... Moc i młodość... Czego trzeba więcej, żeby sięgnąć jak najwyżej?

- Megan... - zaczął, po raz pierwszy od dwudziestu lat absolutnie bezradny. - Megan, nie to miałem na myśli... I nie nazywaj mnie lordem, ani Vaderem, ani Milordem...

- A jak? - spytała drżącym od łez głosem. - Kim jesteś? Kim się stałeś?

Przymknął oczy, żeby się opanować. Do licha, ona mogła mieć rację...

- Nie wiem - wyznał. - Przy wymienianiu dolegliwości, jakie może spowodować transfer do sklonowanego ciała, nie wspominałaś o kryzysie osobowości.

- Bo o nim nie wiedziałam - odparła. Uspokoili się trochę po tym wybuchu, choć wciąż jeszcze płakała. - Nie przewidziałam go.

- Ty?

- Nieważne. Nie przypuszczaliśmy... Cóż, podobne rzeczy się zdarzają po operacjach plastycznych, po ciężkich urazach... do licha! - wstała i podeszła do komputera. - Powinnam pana przebadać, ale nie mogę.

- Dlaczego? - podniósł na nią zdziwiony wzrok.

- Bo nie mam pana danych. Dave nigdy nie istniał w zapisach, Lord Vader umarł... przynajmniej fizycznie. Wprowadzić pana nie mogę. Skąd mam wiedzieć, czy za miesiąc ktoś tu nie zacznie grzebać? Popełniliśmy przestępstwo. Sklonowaliśmy człowieka, do tego bez jego wiedzy i zgody. Na razie ukrywamy pańską śmierć... Nie chcę skończyć w którymś z luksusowych kurortów Imperatora.

- Uratowaliście mnie.

Zachnęła się.

- Sama nie wiem, dlaczego. Był pan... taki bezradny w obliczu śmierci. Poza tym to pański klon. Pańskie ciało. Oddaliśmy panu to, co pożyczaliśmy.

- Rozumiem - spuścił głowę i poddał się jej zabiegom kosmetycznym. Milczała, jakby miała zamiar wsadzić mu znieczulacz w ucho. Vader także milczał. Przypomniawszy sobie, jakiemu celowi pierwotnie miało służyć ciało klona i teraz bardzo chciał zadać jej jedno pytanie. Chciał, ale nie miał odwagi. Bez maski, bez peleryny, bez miecza, w śmiesznym puchatym kocu czuł się mniej Vaderem, niż kimkolwiek na świecie.

- A co z waszym planem? Zabicia mnie i podstawienia robota na moje miejsce? - wypalił w końcu, czując, że krążenie wokół tematu mija się z celem.

Wzruszyła tylko ramionami. Była piękna. Podobała mu się. Chciał coś dla niej zrobić, ale ona

najwyraźniej go nienawidziła.

- Mówiłaś o jakiejś cenie i nic się więcej od ciebie nie mogłem dowiedzieć - zagaił znowu. -

Możesz mi to wyjaśnić dokładniej?

- Chyba nie. To zbyt skomplikowane - odparła.

- Może zrozumieć.

- Chodzi o to ciało... - zagryzła wargę tak mocno, że pokazała się kropelka krwi.

- Chodzi o to, że formalnie jesteś nowym człowiekiem. Nie jesteś Anakinem Skywalkerem, bo on zginął dawno temu z rąk Obi-Wana Kenobiego. Nie jesteś Darthem Vaderem, który leży w chłodni razem ze swoimi implantami. Nie jesteś anonimowym klonem - odezwał się głos od drzwi.

Obejrżeli się oboje. Yaro, mocno zmęczony, ale pogodny, opierał się o framugę i uśmiechał.

- W rzeczywistości jesteś nimi wszystkimi, ale nie ma takiej siły, która zmusiłaby cię teraz do wyboru. Musisz go dokonać sam, w odpowiednim dla siebie czasie. Właśnie to próbowała powiedzieć ci Megan, ale chyba miała z tym problemy. Więc mówię ci to ja: Co zamierzasz zrobić z tym nowym życiem, Lordzie Vader, Anakinie, Dave? Czy masz zamiar znów włożyć czarną maskę i pelerynę, i klęczeć przed Imperatorem?

Vader zafascynowany obserwował starego Jedi. Poczł się tak, jak dwadzieścia lat temu, kiedy siedzieli z Kenobim w jego kajucie i rozmawiali o tym, czym się stał. „Ciemna Strona upaja, daje siłę i potęgę, która spala jak pierwszy lepszy narkotyk. Strzeż się jej, bo spłoniesz w tym ogniu, Anakinie.” Kenobi... Zabił go własnymi rękami, ale nie dlatego, że był taki dobry, tylko dlatego, że Ben pozwolił mu się zabić. Odebrali mu Padme, syna... A on na to pozwalał. Imperator uczynił z niego narzędzie swej woli, a on się nie sprzeciwił. Czy o to chodziło Obi-Wanowi, kiedy go ostrzegał? Że nigdy nie będzie panem siebie, nawet po Ciemnej Stronie? Że zawsze znajdzie się ktoś, kto pchnie go w tym czy innym kierunku? Ktoś, kto zadecyduje za niego? Pokręcił głową.

- Nie. Przerabiałem to już. Pozwoliłem zbyt wielu osobom na zbyt wiele. Teraz ja tu rządę.

Yaro pokiwał głową.

- Co zamierzasz ze sobą zrobić?

Vader westchnął. Również ogromnie miłe uczucie, jeśli przez dwadzieścia lat maszyna oddychała za ciebie.

- Nie wiem. Najchętniej spróbowałbym tego, co straciłem w dniu, kiedy stałem się Darthem Vaderem. Spokoju. Wiem, że to głupie, ale to ciało jest takie... młode, takie czyste. Gdyby Imperator dowiedział się o nim, znów próbowałby mnie od siebie uzależnić. Jeszcze niedawno chciałem go zdławić i zająć jego miejsce... Jak by to teraz wyglądało?

Miał ochotę rozłożyć ręce, ale w porę przypomniał sobie o kocu, więc tylko wzruszył ramionami.

- Nie chcę tam wrócić... Chcę przez parę miesięcy żyć sam. Oczyszczyć się z wszystkich wspomnień i spróbować od nowa. Otarłem się o śmierć i to nie w walce. Na razie wystarczy.

Skulił się, jakby nagle przeszedł go dreszcz.

- Możesz to zrobić - szepnął Yaro.

Vader uśmiechnął się blado.

- Więc Darth Vader musi umrzeć... Symbol siły Imperium umiera na nowotwór mózgu... Paranoja! - pokręcił głową. - Co będzie, jak Vader zniknie?

- Rebelianci odetchną z ulgą. Nie ma i nie będzie drugiego takiego skutecznego narzędzia - odparł Yaro. - Imperator będzie musiał szybko szukać sobie zastępcy.

- Xizor - westchnął Vader. - Xizor i Czarne Słońce. Do imperialnego terroru dorzucić jeszcze mafię. Wyborne. Jesteś pewien, że ta galaktyka to wytrzyma? Vader nie może umrzeć. Trzeba zachować bodaj pozory tego, co jest, bo inaczej ten obleśny jaszczur wejdzie na moje miejsce!

W duchu jednak myślał o całkiem innych konsekwencjach własnej śmierci: Imperator, pozbawiony narzędzia nie zwróci się do Xizora, który poza feromonami nie ma żadnej mocy, lecz zacznie polować na ostatniego Jedi, jaki się uchował w galaktyce. Sam będzie nadzorował budowę drugiej Gwiazdy, ale z każdą chwilą coraz bardziej będzie potrzebował pomocnika... Ma pod ręką Xizora. Głupi, ale skuteczny, a Czarne Słońce ma długie ręce. I nie lubi Luke'a. Luke Skywalker zostanie sam, pozbawiony oparcia ojca, na którego liczy pomimo wszystko i będzie łatwym łupem dla Imperatora. A potem...

- Nie chcę, żeby mój syn poszedł w moje ślady i został pełzającym niewolnikiem... Choćby w najbardziej efektownym mundurze - powiedział cicho, a na głos dodał. - Vader musi żyć..

Jedi milczał. Przez kilka minut żadne z nich się nie odzywało. Vader przesunął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach, pogładził policzki, które pod warstwą kremu odzyskały gładkość i niepewnie spojrzął na Megan.

Potem spojrzął na zmięty kombinezon, wciąż leżący w kącie sali.

Potem na swoje nagie, szczupłe ramiona. Będzie musiał coś z tym zrobić, wygląda fatalnie. Właściwie, co ma do stracenia? Uwolnił się od Imperatora, od czarnego hełmu i aparatury. Uwolnił się od poczucia porażki, gniewu, bólu... A może rzeczywiście zapomniał je przygotować do transferu? A skoro tak, to widocznie może bez nich żyć...

Przypomniał sobie Luke'a, jego przerażenie, ból, rozpacz... Czy tak powinien reagować chłopak na widok ojca? Wytęsknionego, ukochanego ojca?

Ciekawe, jaki on jest? Jaki jest ten młody bohater, wspaniały pilot, zbawca księżniczek w tarapatach... Młody Jedi? Ciekawe, czy trudno byłoby zawojować jego zgłodniałe rodzicielskiej miłości serce?

I uchronić przed Palpatine'em. Przede wszystkim przed nim, a potem przed cieniem Dartha Vadera. Ostrzec go...

Co?

Vader podniósł głowę. Uczucie wolności, z jakim przyjął nowe ciało, zdławiło wszystkie inne: lojalność wobec Imperatora, dumę, zazdrość o Xizora... Niech to! Nie potrzebuje ani jego, ani nikogo innego... oprócz Luke'a.

- Posłuchajcie mnie - rzekł powoli, z rosnącą determinacją. - Vader umarł. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, ale niech mnie supernova, jeśli dam się na powrót wcisnąć w tę skorupę. Brak Vadera jest niebezpieczny, jego śmierć może zatrząść nie tylko Imperium, ale i Rebelię. Nie możecie na to pozwolić. Zdaje się, że mówiliście coś o jakimś robocie? - z nadzieją spojrzął na Megan. Dziewczyna ze skamieniałą twarzą obserwowała go jak próbkę pod mikroskopem, która nagle zaczęła tańczyć.

- Jest robot... - odezwał się Yaro. Spojrzenie, jakim Vader obdarzał Megan, nie uszło jego uwadze. Stary Jedi nie urodził się wczoraj.

- Jak długo muszę tu pozostać, żeby Vader, cały i w miarę zdrowy, mógł wrócić do pełnienia obowiązków?

- Nie więcej, niż kilka dni. Tyle potrzeba, aby odpowiednio zaprogramować naszego robota. Będzie pan nam musiał w tym pomóc, Milordzie - odparł Yaro, z promiennym uśmiechem wracając do ceremonialnej formy.

Vader uśmiechnął się lekko. Jak miło jest się uśmiechać - tak, aby to wszyscy widzieli.

- Nie Milordzie... Dave. Dave R., jak... powiedzmy, jak Randall. A teraz - spojrzął na Megan, podniósł rękę i delikatnie przesunął palcem po jej policzku - czy dostanę coś do ubrania? Byłoby nie czarny kombinezon...

Rozdział 3

Spotkanie.

W tymczasowej bazie Rebeliantów na pokładzie krążownika „Alderaan” trwała rekrutacja pilotów do załóg myśliwców. Prześladowania Imperium skutecznie zdziesiątkowały liczną niegdys flotę. Wielu dobrych pilotów poległo, maszyny były w rozsypce. Jeśli mieliby zniszczyć drugą Gwiazdę Śmierci, potrzeba im czegoś więcej, niż tych kilku dużych statków, które ofiarował im Hapes.

Na razie mieli jednak dość mgliste pojęcie o jej lokalizacji, stopniu zaawansowania robót, jeszcze mniej wiedzieli o otaczających ją zabezpieczeniach. Nie należało się spodziewać, że dowiedzą się o nich w najbliższym terminie. Nie w tej sytuacji.

Księżniczka Leia Organa podniosła zmęczony wzrok znad notesu i spojrzała po żalostnej zbieraninie, którą ktoś szumnie nazwał „kandydatami na pilotów”. W zasadzie nie było o czym mówić, przy tym standardzie broni i na tych maszynach stanowili zwyczajne mięso armatnie, więc po co coś lepszego?

Znużonym gestem wskazała chwacką grupę, która wyglądała, jakby się urwała z baru. Po dłuższej libacji.

- Han, odstaw ich do Wedge'a, niech przynajmniej stworzy pozory wojskowej dyscypliny - mruknęła.

Solo skinął głową i z łobuzerskim uśmiechem, który miał znaczyć „nie słuchajcie jej, ona bredzi” gestem zagonił przyszłych pilotów do bocznego wyjścia. Przez chwilę słychać było tylko przygnębiające szuranie butów po brudnej podłodze.

- Trzydziestu! - rzucił przez ramię i mrużąc dodał - Plus trzech w korytarzu!

- Jeszcze? - jęknęła księżniczka. - Po co mi aż tylu?

- Nie pytaj... - wyszczerzył zęby Han i wypchnął za drzwi ostatniego ciurę z dostawy.

Księżniczka z rezygnacją nacisnęła klawisz interkomu.

- Daj ich, Mike - mruknęła z bólem w głosie.

Nie podnosiła głowy, póki nie podeszli do samego stołu. Dopiero wtedy spojrzała. Nic nowego. Wypierdki banthy. Dwaj byli niscy i pospolici, trzeci...

- Niech mnie... - mruknęła. Trzeci był przynajmniej przystojny. Zabójczo przystojny.

- Będą kłopoty - zanuciła pod nosem i już znacznie głośniej zapytała: - Po coście tu przyszli?

Mamy komplet. Nieważne. Nazwiska.

Dwójka czarniawych kurdupli podała jakieś niewyobrażalne zlepki spółgłosek i pozwoliła się odprowadzić do Wedge'a. Trzeci czekał, aż Han z nimi skończy. Skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechał się kątem ust.

Był niezbyt wysoki, ale szczupły i zwinny, o jasnych, przyciętych na króciutkiego jeża włosach i wesołych niebieskich oczach. Kogoś jej przypominał...

- Ty się nie nazywasz, czy masz zamiast nazwiska brzydkie słowo? - zapytała uprzejmie, kryjąc zniecierpliwienie i chęć dzielenia go między oczy. - Nie mam całego dnia, wiesz?

- Wiem. David Randall - powiedział tamten z rozpromienioną miną.

- O, nic szczególnie świńskiego - udała zdziwienie. - Do eskadry?

- Nie. Służby naziemne. Długo chorowałem, dopiero wyszedłem ze szpitala - wyjaśnił Randall spokojnie. - Nie jestem w dzikiej formie, choć ciężko nad tym pracowałem.

Leia wzniosła oczy w górę. Czy jest skazana na te męki, czy to tylko przypadek?

- To baza rebelii, nie sanatorium. Co ci było?

- Uraz kręgosłupa. Leżałem sparaliżowany przez prawie trzy lata standardowe, aż wreszcie ktoś mądry skontaktował się z lepszym lekarzem. No i jestem.

- Zdaje się, że ci się spieszy z powrotem - z trzaskiem odłożyła blok. - Nie potrzebujemy służb naziemnych. U nas wszyscy latają.

- Cześć! - rozległo się od drzwi. - Kto lata?

- Luke! - Leia zerwała się z miejsca i wybiegła zza stołu, żeby ucałować młodego Jedi. -

Nareszcie! Czy coś się stało?

Zdziwiła się, bo Luke, zamiast uściskać ją serdecznie, znieruchomiał jak słup soli.

- Spytaj innym razem - wymamrotał, nie odrywając wzroku od Davida Randalla.

Teraz i Leia osłupiała, zamrugła oczami, próbując zetrzeć z powiek to dziwaczne złudzenie.

Jeszcze przed chwilą nie było tego widać... Nie tak!

Randall też stał jak wryty. Nic dziwnego, zważywszy, że Luke Skywalker w stroju Jedi wyglądał imponująco, dostojnie i... prawie jak jego własne, lustrzane odbicie. Jediną różnicą było to, że jasne włosy Luke'a, porządnie uczesane, gładko przylegały do głowy, podczas, gdy język Davida miał tendencję do sterczenia na wszystkie strony.

David także ubrany był na czarno, ale w zwykłe miejskie ubranie, według nie całkiem świeżej mody panującej na Coruscant.

- Jesteś pewien, że nazywasz się Randall? - zapytała drżącym głosem Leia.

- Na razie tak - odparł równie niepewnie David. - Ale wkrótce chyba zwątpię...

Napięte milczenie przerwało wejście Solo, który taszczył naręcze kabli. Widocznie po drodze wstąpił do magazynu.

- Gdzie Chewie? - rzucił Han z lekką zadyszka i spojrzał niepewnie na Leię, potem na Luke'a i wreszcie na Davida. Przechylił głowę.

- Widzę, że znalazłeś brata, Luke - uśmiechnął się. - Brata-bliźniaka.

- On nie jest moim bratem... - pobladłymi wargami wyszeptał Luke. - Nigdy nie miałem brata...

- Ja też nie - David wydawał się znacznie mniej zszokowany, ale bardziej wzruszony. - Nieba, ty naprawdę jesteś Luke Skywalker?

- Nie dajmy się zwariować - trzeźwo odparła Leia. - Istnieje pewne podobieństwo, ale bez przesady. Skąd jesteś, Dave?

- Z Coruscant - młody mężczyzna nie spuszczał oka z Luke'a. - Przyjmiecie mnie? Mówiłaś, że nie macie miejsc w naziemnej.

Leia potrząsnęła głową.

- Ja - nie, ale Luke na pewno coś dla ciebie znajdzie. Mam rację, Luke?

Jedi zawahał się i bezradnie spojrzał na obecnych.

- Tak... chyba. Znasz się na mechanice? Nie mogę ciągle Hanowi zabierać Chewiego, a te cholerne balie sypią się jedna po drugiej. Nie mogę ryzykować życia ludzi, za nim jeszcze wylecą z doku.

Dave zmrużył oczy.

- Pewnie. Kiedyś podobno byłem mistrzem w te klocki - z rozbrajającym uśmiechem rozłożył ręce. - Przepraszam, że nie nadaję się do latania, ale jeszcze mam problemy ze sterownością własnych kończyn.

- Nie ma sprawy - Luke podbródkiem wskazał mu inne wyjście. - Hangary są tam.

Dave ruszył w tym kierunku. Luke spojrzął na przyjaciół i poszedł w ślad za nim. Wyraźnie pociągał go ten chłopak.

Wyszli na wąski, ciemnawy korytarz. Dave wydawał się zadowolony, że są sami.

- Miło mi cię poznać - zaczął.

Luke'owi chyba nie bardzo chciało się ciągnąć tę rozmowę, bo tylko uśmiechnął się krzywo. Szli przez chwilę w milczeniu. David ledwie nadążał za szybko idącym Jedi. Pomimo ćwiczeń, kondycję miał gorszą niż złą.

- Hej, Luke! - zawołał wreszcie, kiedy został o parę metrów w tyle, a przed oczami zatańczyły mu ciemne plamki.

Jedi obejrzał się i natychmiast przystanął. Z troską zmarszczył brwi i jednym susem znalazł się przy nim.

- Przepraszam - wyszeptał. - Nie przypuszczałem...

- Że jest ze mną... aż tak źle? - wydyszał Dave, przyciskając dłonią serce. - Ja też nie...

Oparł się plecami o ścianę i przymknął oczy. Oddech powoli mu się wyrównywał.

- Rzeczywiście, może za wcześniej... - wymamrotał, kiedy już mógł mówić. Otarł czoło z kropelek potu. - Do licha, co oni ze mną zrobili...

Luke z troską pokręcił głową.

- Powinieneś jeszcze leżeć. Jak dawno wstałeś?

- Tydzień temu... albo coś koło tego, nie liczyłem - David niedbale machnął ręką. - Już dobrze. Możemy iść dalej.

Ruszyli dalej, ale w znacznie zwolnionym tempie i Luke już nie pędził do przodu. Co więcej, co chwila oglądał się na towarzysza, a raz nawet spróbował wybadać, czy chłopak nie jest zbyt zmęczony, wnikając Mocą w jego umysł.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu, napotkał silną, choć prawdopodobnie naturalną barierę. Wycofał się natychmiast, zastanawiając się, czy Randall może być Jedi. Gdyby tak było, należałoby sądzić, że Anakin Skywalker, obok wielu innych wad, miał jeszcze jedną: nie był zbyt wierny ukochanej małżonce. Luke właśnie odnalazł siostrę i martwił się, że przez więź rodzinną stała się jeszcze bardziej zagrożona. Wolałby nie wystawiać na niebezpieczeństwo kolejnych członków swej rodziny.

Randall tymczasem obserwował go kątem oka.

- Miła ta pani komendant - zauważył wreszcie po dłuższej chwili. - Wolna?

- Nie, zajęta - burknął Luke. - Nie widziałeś?

- Nie - zaśmiał się tamten. - O kim mówisz? O tym... Solo?

Luke przystanął i bacznie przyjrzał się tamtemu.

- Doskonale nas znasz... Randall - zauważył. - Prawie... jakbyś nas już wcześniej poznał.

David wzruszył ramionami i obdarzył go niewinnym spojrzeniem, które Luke doskonale znał z lustra.

- A kto was nie zna? - uśmiechnął się. - Kiedy leżałem przykuty do łóżka, albo spacerowałem w moim egzoszkielecie, nie miałem nic lepszego do roboty, tylko gapić się w holo i podziwiać wasze wyczyny. Co prawda na listach gończych wyglądacie gorzej, niż w naturze... No, ale jesteście rozpoznawalni. Zwłaszcza księżniczka.

Uśmiechnął się znowu, całkiem nie zrażony paskudnym humorem Luke'a

- Wiesz, co... Myślisz, że zwróciłaby na mnie uwagę? - zapytał.

- Myślę, że już zwróciła - odparł Luke. - Ale daj sobie spokój. Han to Han, ale Chewiego lepiej

nie denerwować. Poza tym jej... brat chyba nie chciałby, żebyś zaczął się do niej przystawiać w pierwszym dniu.

- Brat? Ona ma brata? Chciałbym z nim pogadać - zadziornie odparł David.

Luke zatrzymał się, schylił lekko i wsparł dłonie na udach. Naprężył mięśnie, po czym rozluźnił się, wyprostował i uśmiechnął.

- Proszę.

- Co: proszę?

- Mów, co masz do powiedzenia na temat Leii.

- Chciałem... - Dave otworzył usta i to nawet dość szeroko. Podniósł jeden palec i wycelował nim w pierś Luke'a. - Ty? Ty jesteś jej bratem? Prawdziwym?

- Ja. Nie jest to dla niej zbyt bezpieczne, ale to nie moja wina. Taka jest prawda.

Rozłożył ręce w geście, który miał sugerować bezradność, ale w jego wykonaniu - Randall zauważył to nie bez złośliwej satysfakcji - wyglądał raczej jak błogosławieństwo.

- Jeśli Vader nas dopadnie, będzie po obojgu Skywalkerach za jednym zamachem.

- Nie dopadnie... - wymamrotał Dave i zrównał krok z Luke'iem.

- Co? - Jedi obejrzał się na niego ze zdziwieniem. - Dlaczego tak sądzisz?

Dave spuścił głowę.

- Nie było cię, kiedy mówiłem, że przez parę lat leżałem sparaliżowany, zanim nie uratował mnie dobry lekarz. A właściwie lekarka. Nie dobra - najlepsza. Asystentka osobistego lekarza Dartha Vadera i Imperatora Palpatine'a.

- Jakim cudem...? - Luke wyczuwał, że tamten mówi prawdę i tym mniej rozumiał, co się dzieje.

Dave wzruszył ramionami.

- Fuks. Miałem szczęście. Znajoma znajomego znajomego. Piękna... - dodał z rozmarzeniem. -

Nie, wybacz, Luke. Najpiękniejsza. Twoja siostra jest śliczna, ale Megan...

Włożył w te słowa całą radość, całe szczęście, jakie odczuwał. Dwoje dzieci! Dwoje cudownych, wspaniałych dzieci, każde jedyne w swoim rodzaju. Nie tylko syn, ale i córka... Przymknął na chwilę oczy. I pomyśleć, że dziesięć dni temu żegnał się z życiem jako żalony, rozpadający się, gnijący strzęp człowieka. Spojrzał na Luke'a, na młodzieńczą twarz, w tej chwili skupioną i lekko rozbawioną jego zaskoczeniem. Zupełnie inny, niż ten skurczony strachem i bólem młodzik na Bespin.

Przez chwilę przyglądali się sobie. Dave ze wzruszeniem, Luke w zadumie.

- Kwestia gustu - wzruszył ramionami Jedi. - Dopóki nie wiedziałem, że jest moją siostrą, też się w niej podkochiwałem. Byłbym wybił zęby Hanowi, dla ścisłości... Bo wiesz, wyrastaliśmy oddzielnie. Ona gdzie indziej, ja gdzie indziej... A właściwie, dlaczego ja ci to opowiadam?

Dave skrzywił się lekko.

- Widocznie leży ci to na sercu. A wracając do Vadera... Nie sądzę, żeby był dla nas wielkim zagrożeniem. Ten stary robot psuje się z dnia na dzień.

„Mówisz o moim ojcu, gnojku” z niechęcią pomyślał Luke i coś, niby żal, ścisnęło go za serce.

Podjrzliwie spojrzął na Dave'a. Właśnie weszli do hangaru, gdzie leżało kilka rozłożonych na części pierwsze X-skrzydłowców i Dave rozejrzał się wokół z miną kota zbliżającego się do śmietanki. Żwawym, acz nieco chwiejnym krokiem podszedł do jednej z kup żelastwa i obejrzał się na Luke'a.

- Mogę? - zapytał, biorąc do ręki kawałek silnika, którego nazwy Luke nawet nie podjąłby się wymienić.

- Proszę uprzejmie - Luke rozejrzał się po zdeglustowanych twarzach techników, którzy na jego widok zerwali się, jakby ich prąd połąskotał. - Chłopaki, to jest Dave Randall, który podobno jest geniuszem technicznym. Nie pozwólcie mu się zmarnować.

Spojrzał na Dave'a z przebiegłym błyskiem w oku.

- Powiem Leii, że masz taką ładną dziewczynę. Ucieszy się. Jeszcze jeden, który ma dla kogo żyć.

- Nie zapomnij dołożyć dwójki dzieciaków z pierwszego małżeństwa. Megan jeszcze o nich nie

wie - ponuro odparł Dave. - Boję się, co będzie, jeśli się dowie...

Podrzucił w dłoni trzymaną część i przykucnął przy pozostałych.

- No, panowie - odezwał się z półuśmiechem, który bardzo mu się podobał w lustrze -

Proponuję zacząć od początku...Jestem Dave, a wy?

Technicy przedstawili się po kolei, zezując to na Luke'a, to na nowego i w duchu dziwić się podobieństwu. Luke nawet nie próbował tłumaczyć czegokolwiek. Klepnął Dave'a po ramieniu.

- Mam wrażenie, że powinieneś jeszcze zostać gdzieś zakwaterowany i coś zjeść - powiedział. -

Zostaw to na razie. Wiesz już, gdzie pracujesz i z kim, teraz wypadałoby się dowiedzieć, gdzie i z kim będziesz spał.

David podniósł wzrok i widać było, że powstrzymuje się od soczystego komentarza. Posłusznie wstał, oddał najbliższemu stojącemu technikowi zabraną część i otrzepał spodnie.

- Zawsze wszystko załatwiasz w takim tempie? - zapytał.

- Tu trzeba się spieszyć - poważnie odparł Luke. - Wkrótce znów będziemy w samym centrum wydarzeń.

Już bez słowa odwrócił się i skierował do wyjścia. David uśmiechnął się nieśmiało.

- Miło was było poznać, chłopcy. Mam nadzieję, że niedługo tu wrócę.

Dostał samodzielną, choć małą kajutę niedaleko hangarów. Luke ulotnił się błyskawicznie, skoro tylko upewnił się, że jego nowy podopieczny potrafi wszędzie trafić i że na razie nic mu nie potrzeba. David rzucił na prycę niewielki worek, z którym przybył i natychmiast wyszedł na zewnątrz. Potrzebował przestrzeni, świeżego powietrza. Baza rebeliantów była klaustrofobiczna.

Powoli szedł korytarzem, wodząc dłonią po ścianie. Luke wyjaśnił mu, jak najszybciej dostać się do mesy i do sali ogólnej, ale on nie miał na razie ochoty widzieć się z kimkolwiek. Musiał jeszcze przemyśleć swoją impulsywną decyzję - zwłaszcza to, jak wpłynie ona na jego życie i na losy całego Imperium.

Po co się tu zjawił? Kiedy został wyprowadzony z centrum medycznego na Gwieździe Śmierci i przetransportowany na Endor w pojemniku na żywność, nie miał jeszcze żadnych planów. Przeciwnie, marzył o tym, żeby wśliznąć się do ciepłego śpiwora w jakiejś jaskini i przespać ze dwa tygodnie... Aż dojrzeje do działania.

Zamiast tego „zaopiekował się” małym transportowcem, wyprosił z niego imperialnego pilota i ruszył przed siebie z pełnym bakiem.

Leciał bez przerwy na ręcznym sterowaniu, do momentu, aż zemdlał na chwilę.

I trafił na krążownik Rebelii „Alderaan”.

Nic nie dzieje się przypadkiem.

Nie tam, gdzie działa Moc.

David był przekonany, że w tym przypadku właśnie Moc kierowała jego całym zachowaniem, tak, jakby próbowała go skłonić do naprawienia dawnych błędów.

Niech będzie.

Ma informacje, których tamci potrzebują.

Nie wiedział, czy przybył tutaj, żeby zdradzić Imperatora, czy w całkiem innym celu. Pewnie się tego nie dowie, tak jak nigdy się nie dowiedział, czy rzeczywiście był Wybranym, dopóki nie zmarnował szansy.

Tak. Specjalista od zmarnowanych szans. Mógł być wielkim Jedi, dobrym mężem i ojcem, mógł odzyskać syna w tej jednej chwili na Bespin... Odrzucić miecz, powiedzieć: „Tak, jest we mnie dobro, cała ta miłość, którą chciałem ci ofiarować. Gdyby cię nie ukryto... być może nie byłoby Dartha Vadera”.

Skreślił w boczny korytarz i omal nie stratował złocistego robota. Przystanął i potarł dłonią czoło. Ależ tak... Nagle poczuł, że dawno zapomniane zakamarki pamięci otwały się nagle i zalała go fala wspomnień. Threepio. Relacje ludzie-roboty. „O nie! Widać mi części! O nieba!”

- Och, przepraszam, panie Luke - jęknął android. - Wypadł pan tak nagle...

Szczebiotanie drugiego, niższego robota nie pozwoliło Davidowi dojść do słowa. Tego typka też znał. Niejaki R2-D2, szara eminencja wśród astromechów.

- Co? - zdziwił się robot. - To nie jest pan Luke? Artoo, chyba znów podłączyłeś się nie tam, gdzie trzeba... Oczywiście, że to pan Luke...

- Hej, Threepio - wpadł mu w słowo David. - Miło cię widzieć, ale Artoo ma rację. Nie jestem Lukiem.

- Co za podobieństwo! - zawołał Threepio, całkiem nie zrażony pomyłką. - Artoo czasem mi dokucza... Wiek i te rzeczy. Przecież nie mogę tracić wzroku, prawda?

- Logicznie rzecz biorąc, nie powinienes - zgodził się David ze śmiechem. - Przyjdź kiedyś do mnie, to ci sprawdzę fotoreceptory.

„W końcu zbudowałem cię praktycznie od śrubki...”

- Och, dziękuję, panie...

- Dave. Jestem Dave Randall - odparł David gładko, w nadziei, że robocia skleroza zrobiła jednak swoje.

- Dziwne... Wydawało mi się, że nazywa się pan inaczej... Och, nie, chyba jednak muszę iść do przeglądu... - robot przekrzywił głowę, obrócił się w miejscu i odmaszerował.

David położył palce na ustach.

- Niekoniecznie...

Artoo zapiszczał, zacwierkał i niepewnie podtoczył się bliżej. On chyba pamiętał. David pochylił się nad nim, potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć „Nie”.

„Wydawało mi się, że dobrze im pokasowałem pamięci...” pomyślał i przed oczami stanął mu tamten dzień, ta chwila buntu, rozpacz, gniewu... Przymknął oczy. Dobrze, że Threepio nie zapytał, skąd zna jego imię.

Oparł się o ścianę, czując, że znów robi mi się słabo, ale tym razem ze wzruszenia.

Dostał drugą szansę, coś, co nieczęsto zdarza się w życiu.

- Przepraszam... - szepnął. Ile razy jeszcze będzie musiał to powtórzyć?

Luke okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem do sali. Był wstrząśnięty do głębi tym chłopcem. Nie chodziło tylko o wyraźne podobieństwo fizyczne, lecz także o jego obraz w Mocy. Nigdy dotąd nie widział nikogo równie radosnego, spokojnego i szczęśliwego... Nie tu, nie w czasie tej potwornej wojny. Wydawało się, że Dave cieszy się każdym oddechem, każdą cząstką powietrza, którą wdycha. Obserwował go na tle pozostałych kandydatów i nie mógł się pozbyć wrażenia, że ogólnie panujący marazm i zniechęcenie odbijają się od niego jak od transparystalowej bańki. A jednocześnie wydawał się dziwnie poważny i dojrzały, jakby ta radość życia nie wypływała z młodzieńczej

głupoty, lecz z głębokich, może nawet bolesnych refleksji.

Dave wydawał się tak nieskomplikowany i otwarty jak Luke, zanim spotkał Bena Kenobiego i młody Jedi zapalał do niego szczególnym uczuciem - jeśli nie sympatii, to przynajmniej pewnego pokrewieństwa dusz.

Dziwne, jak szybko i bez oporów wygadał mu swoje wszystkie... no, prawie wszystkie, tajemnice. Ale gdyby nie nagła zmiana tematu, powiedziałby mu również, że Vader jest jego ojcem...

„Do licha, mam nadzieję, że to nie jakiś zmutowany Jedi, który w niezauważalny dla mnie sposób kieruje moim umysłem” pomyślał i zaczął się zastanawiać, jak to wszystko opowiedzieć Leii.

Yoda... Gdyby mógł przedstawić go Yodzie. On na pewno rozszyfrowałby tajemnicę Dave'a. Ponieważ jednak Yoda nie żył, Luke musiał sobie radzić sam...

Wszedł do mesy. Była to ciasna, słabo oświetlona kłitka z sześcioma podłużnymi stołami, w tej chwili świecącymi pustkami. Było już dawno po porze jakiegokolwiek posiłku, poza tym statek-baza nie liczył sobie aż tak wielu członków załogi. Piloci myśliwców mieli swoje kantyny na dolnym pokładzie. Tutaj jadali zwykle członkowie sztabu, piloci samego statku-bazy i kilka osób z obsługi tak zwanej „naziemnej” to znaczy nie związanej z pilotażem.

Bar w głębi składał się z trzech syntezyzatorów żywności, po jednym na każde dwa stoły i dwóch leniwych robotów, które więcej korzystały z gniazdek sieciowych, niż pracowały.

Leia, Han i Lando siedzieli wokół jednego końca stolika nad resztkami posiłku. Ich miny nie wróżyły niczego dobrego. Ostatnio tak właśnie im się układało. Żadnych dobrych wieści.

Luke podszedł bliżej i machnął im ręką na powitanie. Leia wzruszyła ramionami. W dłoni ścisnęła kartę danych i czytnik i widać było, że to, co na niej jest, ma dla całej trójki szczególne znaczenie.

Na widok Luke'a Lando skrzywił usta w nieszczerym uśmiechu. Wyraźnie miał dość rebelianckiego, topornego życia i tęsknił za wykwintnym strojem i strawą

- Cześć, Jedi. Szukaliśmy cię - rzucił, usiłując narzucić wesoły ton rozmowy.

- Cześć, Lando - Luke uśmiechnął się ze zrozumieniem. Były administrator Bespin na pewno trochę cierpiał niewygodę na tej balii - Znów dobre wieści?

- Najlepsze. Nowa Gwiazda Śmierci jest w pełni sprawna i zdolna do walki. Imperator osobiście nadzoruje jej budowę. Vader jest rzadkim gościem na dworze, a raczej pokazuje się tylko wtedy, kiedy musi. Krążą plotki, że jest w niełasce. Na jego miejsce powoli wpycha się Falleen, niejaki Xizor. Bardzo enigmatyczna postać.

- Xizor? Zdawało mi się, że kogoś takiego wykończyłem już dość dawno temu - niedbale mruknął Luke.

- Jak się okazuje - niekoniecznie. Xizor ma twardy żywot i niełatwo go wykończyć, nawet detonatorem termicznym - mruknął Lando. - Na razie wygląda mi na to, że Gwiazda Śmierci jest doskonale chroniona i to nie tylko od zewnątrz, jak twierdzili nasi informatorzy, lecz również od wewnątrz. Zastosowano zupełnie nowy rodzaj pól ochronnych.

Luke przysunął sobie krzesło i usiadł, opierając łokcie na stole.

- Robota Xizora? - zapytał, częstując się kawałkiem suchara.

- Na to wygląda.

- Czy to znaczy, że możemy liczyć na poparcie Czarnego Słońca dla Imperatora? Czemu nie jestem zdziwiony?

- Jak widać, mamy nowy problem - Leia potarła czoło. - Mon próbuje wyciągnąć z naszych agentów jakieś dodatkowe informacje, ale zdaje się, że coś pokrzyżowało im plany. Po raz pierwszy naprawdę nie wiedzą, co jest grane. Dowiesz się jutro na naradzie sztabowej.

Luke pokręcił głową i zabrał z rąk Leii kartę danych. Przyjrzał się jej zawartości i w jego oczach pojawiło się lekkie zdziwienie

- Sprawdziałaś wszystkich naszych nowych pilotów?

- Tak. Mon mnie o to prosiła. Obawia się, że może do nas przeniknąć ktoś z Imperium... Nie zdziwiłabym się, niestety. Ale nie tym razem. Większość to byli więźniowie i zesłańcy. Bezpieczni. Nie kochają Imperium. Duża część nie ma rodzin ani bliskich... - głośno przełknęła ślinę. - Pochodzą z Alderaan. Co najmniej połowa.

Luke współczująco położył dłoń na jej ręce. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Pierwszy odwrócił wzrok Luke. Gdybyż wiedziała, co jeszcze ją czeka... Brat jak brat, ale ojciec...

Poczuł, że nie zniesie już dłużej tej samotnej walki. Musi jej powiedzieć i to jak najszybciej. A potem niech się dzieje, co chce.

Odchrząknął.

- A Randall? - zapytał ostrożnie. Był tak zaintrygowany swoim sobowtórem, że miał nadzieję na bodaj najdrobniejszy strzęp informacji.

Leia zawahała się, niepewnie spojrzała na Hana.

- I tu się zaczyna problem - wymamrotała, jakby czując się winna, że w ogóle z nim rozmawiała. - Sprawdziłam...

- Nie ma kogoś takiego, Luke - wpadł jej w słowo Solo. - Sprawdziliśmy wszystkie możliwe źródła, dotarliśmy nawet do imperialnych rejestrów... Nic. On po prostu nie istnieje. I nigdy nie istniał.

- Wydaje się nieszkodliwy - zauważyła Leia. - Niestety, to chyba wszystko, co można powiedzieć na jego temat.

- Dlaczego nikt nie zapyta mnie? - odezwał się głos od drzwi.

Obejrżeli się wszyscy jednocześnie. Leia rozchyliła usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Luke wstał, a za nim Han i Lando. Powoli odeszli od stolika, półkolistie okrążając Davida, który obserwował ich spokojnie.

Zrobił nawet krok do przodu. Teraz był otoczony: przed nim Luke z ręką na mieczu, za nim z lewej Han, a z prawej Lando, obaj gotowi do akcji.

- Nie musicie się obawiać - zaczął spokojnie, unosząc lekko otwarte dłonie. - Choć myślałem, że przynajmniej tu nikt nie pyta o pochodzenie. Sądziłem, że rebelianci potrafią uszanować cudze tajemnice. Pomyliłem się. Trudno.

- Kim jesteś? - zapytał Solo. - Dlaczego nie ma cię w rejestrach? W żadnych rejestrach?

- Nie mogę powiedzieć.

- Skąd przybywasz?

- Z Coruscant.

- To już wiemy - prychnął Calrissian. - A tak naprawdę?

- Nie mogę wam nic powiedzieć. Nie jestem ani wrogiem, ani szpiegiem, ani dywersantem. Jeśli to wam nie wystarczy...

Spuścił głowę, obserwując kątem oka ich reakcję. Nie był uzbrojony... nie musiał być. Ale czy wolno mu użyć tej broni?

Rozejrzał się nieco bezradnie. Chciał załagodzić sprawę. Tak blisko i nagle...

- Czy widziałem coś, co nie pozwoliłoby mi odejść? - zapytał po chwili, kiedy tamci nie odezwali się ani słowem. - Jakiś sekret, który spowodowałby, że muszę umrzeć?

- Nie - szepnęła Leia, dziwnie poruszona jego bierną postawą. - Będiesz mógł odejść.

Wysadzimy cię na Endorze, jutro rano. Do tej pory będziesz pod strażą. Han, chłopak pewnie

przyszedł tu, żeby coś zjeść. Miej na niego oko, dopóki nie skończy, a potem przekażesz go Luke'owi. Luke, zabierzesz go do jego kajuty i zamkniesz. Po cichu, żeby się nie rozniosło, bo go zlinczują, zanim jeszcze zaczną zadawać pytania.

Solo rozluźnił się nieco. Wyglądało na to, że sam miał ochotę na mały lincz. Niechętnie opuścił broń, podszedł do Davida i ujął go za ramię.

- Siadaj, mały - rzekł pogodnie. - Co ci przynieść?

Dave spojrzał na niego dość żałośnie. Niech diabli wezmą zalecenia Yaro. Podejrzenia jeszcze wzrosną...

- Kubek chłodnej wody - rzekł.

Han bez słowa nalał mu wody z kranika przy stoliku. Dalej otaczali go ciasnym kręgiem. Leia stanęła naprzeciw niego i położyła przed sobą czytnik. Dave usiadł, znów popatrzył na nich niepewnie, po czym wyjął z kieszonki na piersi małe pudełeczko. Wytrząsnął na dłoń dwie zielone pastylki i wrzucił do kubka.

Woda zaburzyła się, przybrała zielony kolor i lekko zgęstniała. Powietrze wypełnił intensywny, dość przyjemny zapach. Leia otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale Han był szybszy.

- Co to jest? - zabrał kubek sprzed nosa Randalla i powąchał nieufnie. - Cyjanek?

- Nie - Dave cofnął dłoń, jakby unikając kontaktu z Hanem. Solo został z kubkiem w dłoni i z dość głupią miną powąchał płyn.

- Nie wiem, co to może być - mruknął. - Nie pachnie jak większość znanych trucizn.

- Skąd wiesz, że chcę się otruć? - zdziwił się Randall. - Przecież przyszedłem na obiad.

- Dziwny ten obiad - zauważył Han, ale niechętnie odstawił napój na stół. Był trochę zmieszany.

Dave wziął naczynie i chciał wypić jego zawartość, ale Leia powstrzymała go łagodnie, kładąc dłoń na obrzeżu kubka. Teraz, żeby wypić, musiałby dotknąć ustami jej ręki i pokonać siłę, z jaką utrzymywała kubek w jednej pozycji.

- Co to jest, Dave?

Randall wzruszył ramionami. Nie chciał używać siły. Nie chciał zmarnować cennych pastylek.

- Jeśli ktoś przez całe lata odżywiany był przez żyłę, nie należy się spodziewać, że szybko zacznie trawić stałe pokarmy - mruknął. - Możesz spróbować, jeśli chcesz.

Luke bez słowa zabrał mu kubek i, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, upił łyk płynu. Przez chwilę trzymał go w ustach, gotów wypluć w każdej chwili, po czym przełknął powoli, małymi kropelkami. Przymknął oczy i czekał przez chwilę.

- To prawda - rzekł. - Proteiny, trochę dodatków smakowych, witamin...

Zwrócił kubek Davidowi, który natychmiast wysączył napój, jakby się obawiał, że wszyscy zaczną próbować, a dla niego nic nie zostanie.

Przyglądali mu się w milczeniu.

Randall odstawił kubek. Znów sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął szarą kartę danych. Bez słowa podał ją Leii, która natychmiast wsunęła kartę do czytnika i zagryzła wargi, kiedy zobaczyła, co na niej się znajduje. Niebieskawa poświata od ekranu czytnika nadawała jej twarzy lekko trupi odcień.

- Imperialne centrum medyczne... - pokiwała głową. - Ciekawe.

Dave zaklął pod nosem. Kiedy opuszczał Centrum, Yaro próbował wystawić mu takie papiery, żeby nikt się nie doczepił, ani Imperium, ani Rebelia. Ta karta jednak miała być jego przepustką w przypadku spotkania ze szturmowcami, nie z rebeliantami. Kto by przypuszczał, że to właśnie rebelianci staną się nadmiernie dociekliwi?

- Częściowa amnezja pourazowa. Odżywianie płynami lub dożylnie. Słaba koordynacja ruchów - Leia czytała jedynie wybrane pozycje, te, które napisano zrozumiałym dla niej językiem. - Zaburzenia mowy i wzroku. Zaburzenia snu. Słaba kondycja fizyczna... mmmm, co tu jeszcze? Brak danych osobowych. Przypuszczalny wiek, 25 lat standardowych. Przypuszczalna przyczyna urazu, wypadek w pojeździe nadatmosferycznym.

- David Randall to imię, jakie nadali mi lekarze. Zdaje się, że mieli przyływ fantazji - spokojnie odezwał się Dave. - Nic dziwnego, że nikogo takiego nie znaleźliście w bazach danych. Oficjalnie nie istnieje.

- Czy mogłeś być szturmowcem? - zapytał Solo.

- Nie sądzę - Dave pokręcił głową. - Nic na to nie wskazuje. Pomimo to odnoszę wrażenie, że byłem w jakiś sposób związany z Imperium.

Luke spoglądał na Dave'a z miną, która świadczyła o mieszanych uczuciach. Nie miał szczególnego powodu, żeby mu nie wierzyć, ale nie wątpił w jego dobre intencje. A zatem co? Przypadkowy „owoc miłości” Vadera, który nagle wymknął się spod kontroli Palpatine'a? Zmrużył oczy i jeszcze raz uważnie przyjrzał się tamtemu. Był podobny, ale nie całkiem, jakby część rysów dodano... Ciekawe, od kogo pochodziły?

- Byłeś członkiem dworu Imperatora?

Dave przymknął oczy. Jak tu odpowiedzieć na takie pytanie?

- Nie - powiedział wreszcie, czepiając się jednej z trzech prawd. - Spędziłem tylko pewien czas w ich szpitalu. Może... byłem przy kimś z dworu. Nie pamiętam. Czarna dziura.

Pokręcił głową. Wiedział, że Luke nieustannie go skanuje, sprawdza poprzez Moc. Miał ochotę wypróbować, jak daleko może sięgać ta kontrola. Skłamać. Co wtedy zrobi tamten?

- Tę kartę powinien zobaczyć robot medyczny - wtrącił Solo. - To bełkot, z którego niewiele da się wywnioskować. Niech ją przetłumaczy na basic. Może wtedy się dowiemy czegoś sensownego.

TYLKO NIE TO!!! krzyknął instynkt samozachowawczy Davida. Istotnie, każdy, nawet najgłupszy robot medyczny bez trudu rozpozna w nim klona, a historia jego choroby, z tymi bezsensownymi zaleceniami i ozdóbkami, stanie się jego zgubą. Cała misternie skonstruowana historyjka przypadnie bezpowrotnie, a oni stracą do niego zaufanie.

Po raz kolejny kłął improwizację, jaką była jego ucieczka i zeznania, w których już zdążył się zaplątać

- Nie sądzę, aby to było konieczne - szepnął prawie samymi ustami, wykonując dłonią niedbały gest. - Wszystko jest chyba oczywiste.

- To nie jest konieczne - wtrącił Calrissian. - Wszystko jest oczywiste.

Luke zauważył ten manewr, ale się nie odezwał, tylko zmarszczył brwi i uważnie spojrział na Randalla. Coś w nim było... dziwnego.

- Rodziców zapewne też nie pamiętasz? - zapytał łagodnie.

- Nie.

Po krótkiej, pełnej napięcia ciszy Skywalker wyjął kartę z czytnika i zwrócił ją Davidowi.

- Ja też sądzę, że wszystko jest jasne - powiedział, ignorując zdumione spojrzenie księżniczki. - Too-Onebee ma dość roboty i bez tego. Myślę, że wkrótce otrzymamy potwierdzenie jego wersji.

- Ale... - zaoponował Solo.

- To moja decyzja, Han - łagodnie upomniął go Luke. - Od tej chwili to ja za niego odpowiadam. Delikatnie, ale stanowczo ujął Davida za ramię.

- Czy to twój cały posiłek? - zapytał. - Możemy już iść?

Randall przytaknął. Luke Skywalker skinął głową przyjaciółom i wyprowadził go z mesy. Leia,

Han i Lando spoglądali w ślad za nim. Mieli cokolwiek stropione miny.

- Gdybym go nie znał, pomyślałbym że Luke go kryje - szepnął Calrissian.

- Ja bym go sprawdził - mruknął Solo. - I to jak najdokładniej.

Leia wzruszyła ramionami.

- Większość z nas ma jakąś tam przeszłość, Han - odparła łagodnie. - Luke przez cały czas sprawdza, czy gość mówi prawdę. Przy najmniejszej wątpliwości dałby nam znak.

- Z pewnością - Han pokiwał głową, odwrócił się i klepnął Landa w ramię. - Chodź, „Sokół” czeka na nas.

Lando, który nieufnie oglądał w kubku resztki płynu, powąchał zieloną ciecz, wytarł palcem i polizał. Skrzywił się lekko.

- Jak on to może pić? - mruknął.

- Też nie wiem - zgodził się Han. - Ale gdyby się nawet otruł, to tylko lepiej dla nas. Mniej problemów.

Luke Skywalker i David Randall szli tym samym wąskim, słabo oświetlonym korytarzem, który prowadził do części mieszkalnej. Luke uszedł tylko kilka kroków, rozejrzał się, czy nikt nie patrzy, po czym jednym szarpnięciem postawił Davida pod nierówną, nitowaną ścianą i unieruchomił zręcznym chwytem wolnej - sztucznej - dłoni. Jedną z niewielu zalet posiadania protezy była jej ogromna siła.

- Co to było? - warknął.

- Co? - Dave niewinnie podniósł na niego wzrok. - Auuu... puść, to boli!

Przygiął kolana, jakby próbując wysliznąć się z chwytu tamtego, ale Luke trzymał mocno. Na wszelki wypadek poprawił też uchwyt zdrowej ręki, przenosząc go pod gardło tamtego. Chwycił go pełną garścią za ubranie w okolicy kołnierza i skrzywił. David zrobił się bardzo blady.

- Wpłynąłeś na umysł Landa... - Luke ścisnął nieco mocniej. - Zrobiłeś to, czy nie?

- Nie... - wykrztusił Dave. - Puść mnie, do licha!

- Zasugerowałeś mi, żeby się odwalili od twojej karty. Dlaczego?

- Nieprawda! Powiedziałem to tak sobie, a on powtórzył!

- Kłamiesz... - wycedził Luke. - Do tej pory tego nie robiłeś, choć czasem umiejętnie mijałeś się z prawdą.

- To nie tak... - Dave szarpnął się znowu. - Musiałem... Ta karta...

- Coś jest z tą kartą... Może teraz pójdziemy do Too-Onebee? - zaproponował Skywalker przez zaciśnięte zęby.

- Nie... nie warto - wykrztusił tamten. - Wszystko... ci... powiem, tylko PUŚĆ!

Luke rozprostował go na ścianie.

- Użyłeś Mocy? - upewnił się jeszcze. Wciąż nie wyczuwał jawnego kłamstwa, tylko półprawdy. Albo tamten jest taki dobry, albo to faktycznie zbieg okoliczności.

- Użyłem hipnozy. Sugestii. - Dave, krzywiąc się niemiłosiernie, wysunął się z żelaznego uścisku i zaczął rozcierać sobie ramiona. - Chyba narobiłeś mi siniaków!

- To się nazywa Moc - ponuro odparł Luke.

Randall podciągnął rękaw i aż syknął. W miejscu, gdzie prawa dłoń Luke'a przygwoździła go do ściany, pojawił się już czerwony ślad. Spojrzał z wyrzutem na Jedi.

- Musiałeś?

- Przepraszam. No, to co z tą kartą?

David oddychał ciężko. Wciąż jeszcze z trudem chwycił oddech. Nagle przyszło mu do głowy, ile razy sam nie zwolnił uchwytu, dopóki ofiara nie zsiniała... Nie. Nie! To przecież nie on... To...

tamten.

- Jestem... klonem - wyszeptał, nisko opuszczając głowę. - Karta jest lipna, bo klonowanie jest zabronione. To wszystko. Dokładnie wszystko. Cała moja tajemnica, Luke. Robot medyczny poznałby się na tym... Jak zresztą każda osoba z odrobiną medycznego wykształcenia.

Skywalker odetchnął. Więc nie zdrajca, tylko ofiara. Kolejna ofiara...

- Tylko tyle? No to chodź, prześpisz się w zamkniętej celi, a ja tymczasem spróbuję to wyjaśnić moim podejrzliwym przyjaciółom.

Pchnął go przed sobą. Nawet nie musiał wyciągać miecza ani miotacza. Jego refleks poprawił się na tyle, że gdyby tamten próbował jakichś sztuczek, zdąży to zrobić z pięć razy.

- Nie będę próbował uciekać - odezwał się nagle Dave, jakby czytając w jego myślach. - Nie po to przyjechałem z narażeniem życia, żeby teraz odejść. Wierz mi, nie jest mi łatwo.

Luke wzruszył ramionami. W jakiś sposób mu wierzył, choć o tej sugestii chłopak kłamał jak najęty. Bezwstydnie użył Mocy przed nosem Jedi i jeszcze próbował się tego wyprzeć. No tak, ale w końcu Luke sam do pewnego czasu nie wiedział, jaką potęgą jest obdarzony. Teraz był pewien, że Dave jest z nim spokrewniony.

Zastanowił go jeszcze jeden szczegół. Zanim wyjął kartę z czytnika, zauważył jeszcze jedną daną, która Leii nie powiedziałaaby nic. Jemu też niewiele mówiła, ale instynktownie wyczuwał, że nie jest to normalne. Wielkość była podana prawie na samym końcu listy, ale świadczyła o tym, że w Randallu jest coś niezwykłego. Poziom midi...czegoś tam. Poza skalą. Skala jest po to, aby określić normę. Jeśli coś jest poza skalą, to znaczy, że jest poza normą. Albo David jest ciężko chory, albo jest w nim coś innego... Chyba, że to właśnie jest cecha charakterystyczna klonów...

Rozdział 4

Wyznanie.

Luke wszedł na pokład widokowy - zabawną pozostałość z czasów, kiedy krążownik był jeszcze latającym luksusowym statkiem dla turystów. Lubił tu przychodzić, żeby medytować, spoglądając w gwiazdy, a choć jako Jedi nigdy nie żądał wygód, czyjaś litościwa ręka przyniosła tu matę, na której mógł siadać bez obawy, że ubrudzi sobie spodnie.

Rozmyślał o popołudniowej odprawie. Mon Mothma przedstawiła im prosty i dość łatwy w realizacji plan zniszczenia Gwiazdy Śmierci. Pole zewnętrzne można było wyłączyć poprzez zniszczenie generatora na księżycu Endor. Pozostawało zgrać w czasie wyłączenia pola i atak rebelianckiej floty. O ile grupę desantową zebrali bez kłopotu, o tyle samo zniszczenie Gwiazdy Śmierci spotkało się z żywym protestem ze strony Luke'a i Davida. Pierwszy stwierdził, że nie wolno im zniszczyć całej stacji wraz z ludźmi, agentami, wtyczkami i tym podobnymi, drugi - że ta pozorna łatwość, z jaką zdobyli wszystkie informacje dotyczące stacji i jej obrony, jest co najmniej podejrzana i musi w niej istnieć jakiś haczyk.

Mon Mothma po namyśle i po naradzie z dowódcami zgodziła się poczekać dwie doby. Według tego, co podawali agenci, w tym czasie powinna nastąpić dostawa nowych modułów i istnieje szansa, że podczas ich podłączania uda im się stwierdzić, czy podane informacje są prawdziwe, czy też Gwiazdę Śmierci chroni więcej niż jedno pole.

Jeśli wszystko się potwierdzi, niezwłocznie przystąpią do wykonywania planu ataku.

Luke bredził o ludziach i agentach, ale w gruncie rzeczy chodziło mu tylko o jedno: Yoda powiedział, że aby stać się Jedi, musi zmierzyć się z Vaderem.

Teraz miał jedyną i ostatnią szansę.

Jeśli ją zaprzepaści, nigdy nie stanie się prawdziwym rycerzem Jedi.

Pusta, lekko lśniąca podłoga, otoczona półkolistym oknem widokowym z transparistali kiedyś była ledwie widoczna spod stóp turystów, dziś odbijała tylko światło odległych gwiazd.

Luke wybrał sobie miejsce, z którego mogłoby się wydawać, że siedzi wprost na pokładzie. Gwiazdy nad nim i przed nim, a pod nim lśniąca tafla wody...

Teraz jednak to miejsce było zajęte.

Siedział na nim ktoś, kto skrzyżował nogi i położył dłonie na kolanach tak samo, jak od wieków czynili to Jedi podczas medytacji.

Luke drgnął. Przez krótką chwilę doznał wrażenia, że ma rozdwojenie jaźni i widzi sam siebie. Jasne, gładkie włosy srebrzyście odbijały blask pobliskiego księżyca, ciemny strój stapiał się z ciemnością. Człowiek siedział nieruchomo, zatopiony w najgłębszym z możliwych transie Jedi, z przymkniętymi oczami w bladej, nieruchomej twarzy.

Luke podszedł bliżej.

Dopiero teraz rozpoznał twarz intruza.

„Dave?” zdziwił się. W milczeniu okrążył siedzącego i stanął przed nim.

Randall nie poruszył się. Zatopiony w Mocy, wydawał się nie słyszeć i nie widzieć, ale kiedy Luke pochylił się, usłyszał szept, cichszy niż oddech:

- Luke?

Dave otworzył oczy, które lśniły dziwnym, nieziemskim blaskiem. Jednym zwinnym ruchem stanął na nogi i spojrzał na przybysza.

- Zająłem ci miejsce... przepraszam. Potrzebowałem samotności - powiedział.

Luke bez słowa usiadł na jednym końcu maty, w tej samej pozycji do medytacji. Drugą połowę pozostawił wolną. Dave przysiadł na niej i - widać było, że uczynił to całkiem odruchowo - przyjął dokładnie tę samą pozycję.

- Wiem, co robiłeś... - rzekł w końcu Luke. - Nie chcę cię urazić, ale kryjesz się z tym tak, jakbyś się bał...

- Czego?

- Że inni dowiedzą się o tym, że jesteś Jedi.

Randall gwałtownie skurczył się w sobie i przymknął oczy. Przez chwilę oddychał ciężko, jakby usiłując się uspokoić, jakby próbował opanować jakąś zbyt ostrą reakcję.

- Wyczułeś to. Przecież ty też jesteś Jedi - szepnął. - Tak. Nie chciałem, żebyście się dowiedzieli. Sam chciałem o tym zapomnieć.

- A jednak użyłeś Mocy... wtedy, w mesie - zaproponował Luke, nawet bez wyrzutu. - Dlaczego?

- Przecież wiesz, że nie mogłem ryzykować ujawnienia mojej prawdziwej tożsamości.

„W całym Imperium tylko jeden człowiek ma taki poziom midichlorianów. Wystarczyło, aby robot sprawdził bazy tylko pod tym kątem”.

- Jedi są cennym nabytkiem dla Rebelii.

- Dla mnie nigdy nic dobrego z tego nie wynikło - mruknął. - Najpierw mnie nie chcieli szkolić, później mnie nie chcieli wypuścić... same kłopoty.

Luke westchnął. Skąd on to znał?

- Kto cię szkolił?

Dave zawahał się. Znowu to cedzenie prawdy-nieprawdy. Może raz z tym skończyć?

- Kto? Najpierw chciał mnie szkolić mistrz Qui-Gon Jinn, potem próbował Yoda, ale skończyło się na... Yaro. Był dobrym mistrzem... - przymknął oczy.

- Był? - łagodnie zapytał Luke. - Nie żyje...

- Żyje - Dave uśmiechnął się na wspomnienie starego lekarza. - Jest Uzdrowicielem. To on mi pomógł, ryzykując własnym życiem. Pracuje w centrum medycznym Imperatora Palpatine'a.

Tyle mógł powiedzieć, nie kłamiąc. Wiedział, że Luke jest w stanie to wyczuć. Na wszelki wypadek starannie pominął wzmiankę o Obi-Wanie Kenobim.

Przez chwilę milczeli, szukając się wzajemnie w Mocy, ostrożnie budując więź, która miała ich połączyć na całe życie.

- Jutro lecisz? - zapytał Luke. - Jesteś pewien? W karcie masz napisane...

- Yaro jest zbyt ostrożny - uśmiechnął się Dave. - Nic mi nie będzie. Niełatwo jest szukać samego siebie, jeśli się nie wie, gdzie. Musiałem... pomyśleć.

Znów milczenie.

Luke wyciągnął rękę i mocno uściśnął dłoń Dave'a, wspartą na kolanie.

- Poradzisz sobie, stary. Jesteś świetny... A może się boisz? Hej... - urwał, zaskoczony nagłą falą Mocy, jaka go uderzyła w chwili, kiedy dotknął Dave'a. - Nieba... co to było? Jakbym dotknął szyny pod napięciem!

Randall podciągnął kolana pod brodę i otoczył je ramionami. Wydawał się niechętny do rozmowy. Luke milczał przez chwilę, ale nie już próbował go dotknąć, ani fizycznie, ani poprzez Moc, jedynie wsłuchiwał się w równy, spokojny oddech tamtego.

- Masz wielką Moc - zauważył Luke po chwili. - Nigdy nie chcieli zrobić z ciebie mistrza?

- Próbowali - niechętnie wyznał Dave. - Nic im nie wyszło.

Rozmowa wyraźnie się nie kleiła. Dave próbował wymijająco odpowiadać na pytania, ale szło mu to coraz gorzej. Kolejna decyzja... czy to, że spotkali się właśnie tu i teraz, przed najważniejszą bitwą, nie było kolejną sprawką tej przebiegłej suki Mocy?

- Dzięki, że poparłeś mnie przed sztabem - odezwał się Luke. - Nie mogłem pozwolić na to, żeby rozwalili Gwiazdę Śmierci. Muszę najpierw porozmawiać z ojcem.

Dlaczego Moc zawsze wybiera najmniej odpowiednie chwile, aby objawić swe plany? Dlaczego Luke nie powiedział tego pięć minut wcześniej lub godzinę później? Dlaczego młody, niedbale ubrany łącznościowiec musiał wybrać właśnie tę chwilę, żeby zjawić się na pokładzie widokowym w towarzystwie Leii i Hana?

Obaj młodzi ludzie zerwali się, jak oparzeni. Łącznościowiec był blady i cały dygotał. Leia miała twarz zalaną łzami - nie ze swojego powodu, nie... Podeszła do Luke'a, objęła go mocno ramionami. Jak zawsze gotowa nieść pomoc, pociechę... Han podszedł do obojga, może po to, aby zapobiec temu bliskiemu kontaktowi, a może po to, żeby wziąć w nim udział...

- Jackie przyniósł właśnie najnowsze nowiny z Imperium. Darth Vader jest umierający - powiedział do Dave'a i dodał rzeczowym tonem, który przypominał przypis w książce. - Jest ojcem Luke'a.

- Wiem - Randall odsunął się i odwrócił do okna.

Niedługo z tym czekali... Coś się musiało stać, że sprawa wylała tak nagle. Miał złe przeczucia, ale bał się nawiązywać kontakt z Yaro, żeby nie poinformować Imperatora o swojej obecności.

- Jest też mordercą, zbrodniarzem i zdrajcą - wycedził przez zęby. - Niewart jest jednej łzy.

- Nie mów tak - łagodnie przerwała mu Leia. - Wypełniał rozkazy. Może jego metody... różniły się od naszych, ale cel miał ten sam: pokonać przeciwnika.

Han z niedowierzaniem zmarszczył brwi.

- I kto to mówi? Ty? Przecież ty najwięcej wycierpiałas z jego powodu... - delikatnie, ale stanowczo oderwał ją od Luke'a. - Chyba żartujesz...

- Nie. Ale wojna jest wojną - dumnie potrząsnęła głową. Włosy miała w nieładzie. Widać było, że została wyrwana ze snu. - Ludzie giną i po jednej, i po drugiej stronie. Nie mogę go nienawidzić za to, że z nami walczył.

„Dzięki, dobra kobieto” ironicznie pomyślał David. Co się mogło stać...? Yaro...? Megan!

Podszedł do Luke'a i chwycił go za ramiona.

- Wydaj mi zgodę na odlot - szepnął. - Teraz. Już.

Luke pokręcił głową.

- Jeśli polecisz, to tylko ze mną - rzekł. - Vader jest moim ojcem. Nie mogę pozwolić, żeby umarł... beze mnie. To dla mnie bardzo ważne.

Zapanowała cisza. Han objął Leię ramieniem i pociągnął nieco w tył. Jak na przemytnika, miał niezłe wyczucie, kiedy należy się wycofać.

Luke i Dave zostali sami na placu boju, a właściwie na macie.

- Co mu powiesz? - Dave odwrócił twarz w stronę okna.

- Że... żałuję - Luke zająknął się nagle. - Że... kocham go pomimo wszystko. I wiem, że jest w nim dobro, wiem, że nie stał się do końca zły... Wtedy, na Bespin, kiedy powiedział „Luke, chodź ze mną”... Dave, ja... byłem gotów to zrobić! Tak bardzo za nim tęskniłem. On... nie może umrzeć sam. To najstraszniejsza śmierć. On... na nią nie zasługuje... mimo wszystko. A jeśli przy okazji zdołam wysadzić tę imperialną bańkę, to nawet lepiej.

- Ja też lecę - Leia otarła łzy i delikatnie, ale stanowczo odsunęła rękę Hana. - Luke, nie mogę już

dłużej ukrywać prawdy...

Stanąła przed Hanem i dumnie, zaczepnie spojrzała mu w oczy.

- Han, Darth Vader jest również moim ojcem. Jestem siostrą Luke'a. I... Kocham cię.

Szybko, mocno pocałowała go w usta, półotwarte ze zdziwienia. Rozprostowała dłońmi kombinezon, przez chwilę wyglądała nawet, jakby chciała poprawić fryzurę. Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Idziemy - rzuciła przez ramię.

- Zaraz, zaraz! - Han oprzytomniał w kilka sekund. - A ja? A Chewie? A roboty?

David podszedł do niego i łagodnie położył mu dłoń na ramieniu.

- To sprawa... rodzinna, Han. Ale nie martw się. Nigdzie nie polecą. Moja w tym głowa.

Pozostawił zdumionego Solo pośrodku pokładu widokowego. Jackie, który miał zamiar wrócić na nasłuch, zatrzymał się w porę, aby usłyszeć całą wymianę zdań i teraz zastanawiał się, jak się sprytnie wytłumaczyć z podsłuchiwania.

David, mijając go, przelotnie dotknął dłonią jego skroni.

- Zapomnij, chłopcze - rzekł cicho, świadomie i z pełną odpowiedzialnością używając Mocy. -

Zmykaj do roboty - polecił nieco ogłupiałemu łącznościowcowi. - I dobrze słuchaj, co tam mówią.

Szybkim krokiem dogonił Luke'a i Leię.

Han spoglądał w ślad za nim, pocierając czoło.

- Cholera - mruknął. - Kim ty jesteś?

- Luke! - David wciąż jeszcze nie miał dość kondycji, żeby bez wysiłku gonić wytrenowanego Jedi. - Zaczekajcie...

Oboje przystanęli posłusznie. Leia uśmiechnęła się.

- Nie musisz tak pędzić, Dave - rzekła łagodnie.

- A wy w ogóle nie musicie lecieć - wypalił Dave. - Darth Vader nie żyje już od dwóch miesięcy.

Nie wiem tylko, dlaczego ujawnili to tak późno.

- Co? - wykrzyknęli oboje jednocześnie. Luke zachwiał się i złapał za głowę.

- To niemożliwe... Musiałbym to wyczuć...

- Dlaczego nie powiedziałeś...? - szepnęła Leia.

Wzruszył ramionami.

- Skąd się dowiedziałeś? - Leia nie ustępowała. - Masz łączność z Imperatorem?

- Nie. Niech ci to wystarczy, że wiem.

- Nie wiem, dlaczego tak długo to ukrywali, ale czuję, że stało się coś bardzo złego - ujął Luke'a za ramię. - Luke, musisz mi pomóc... proszę. Pojutrze zetrzecie w proch Imperatora i Gwiazdę Śmierci, ale dzisiaj musisz mi pomóc. Daj mi pozwolenie na wylot. Musimy ocalić Yaro i Megan.

- Powiedziałem ci, że lecę z tobą, Dave - łagodnie odparł Luke, który już częściowo się opanował. - Jeśli jest tak, jak mówisz... powinienem przynajmniej dowiedzieć się, jaką rolę ty w tym wszystkim odgrywasz.

- Dobrze, Luke - David uśmiechnął się do Leii i palcem otarł jej łzę z policzka. - Leio, kochanie, uspokój się. Kiedy wrócimy, opowiem wszystko także i tobie. Teraz musisz mi po prostu zaufać. Idź do Hana. Jest w szoku.

- W porządku - Leia już sama otarła oczy. - Lećcie. Wiem, że to dla ciebie ważne, Dave.

Wspięła się na palce i ucałowała go w policzek. Luke'owi zarzuciła ramiona na szyję.

- Leć, braciszku - szepnęła. - Zawsze wiedziałam, że jesteś mi bardzo bliski.

Przechwycony wahadłowiec „Tydirium” powoli zbliżał się do Gwiazdy Śmierci od niedokończonyj strony, gdzie widoczne były wewnętrzne konstrukcje i struktury. David pilotował. Luke był zaskoczony, z jaką łatwością przychodziły mu wszystkie skomplikowane manewry.

- Jesteś świetnym pilotem - zauważył i pograżył się we własnych, niewesołych rozmyśleniach.

Nie rozmawiali wiele. Wymieniali komendy, dane - jak w czasie normalnego, dwuosobowego lotu. Luke wyczuwał jednak jakieś napięcie, nienaturalny spokój. David rzeczywiście świetnie sobie radził z wahadłowcem i właściwie powinno to być podejrzane, ale...

Luke Skywalker nie chciał nikogo osądzać przed czasem.

David ustawił statek na stacjonarnej, bezpiecznej orbicie nad Endorem. Nie miał zamiaru się meldować. Jeszcze nie - dopóki nie załatwi sprawy tu, na pokładzie wahadłowca.

Nie było mu łatwo.

Obejrzał się na Luke'a, który wydawał się mocno poruszony.

- Co ci jest? - zapytał. - Boisz się?

- Nie... - Luke pokręcił głową, ale jego oczy mówiły co innego, Było w nich przerażenie, ból i bezbrzeżny smutek. - Nie rozumiem, dlaczego nie mogłem wyczuć jego śmierci... Czuję ból i cierpienie Leii i Hana na Bespin, a jego... nie... Nic. Jak to możliwe?

- Spróbuję ci to wyjaśnić, Luke - łagodnie odparł Dave. - Myślę, że potrafię to zrobić.

- Nie teraz, Dave. Przez kilka miesięcy przyzwyczałem się do myśli, że mam ojca. Teraz usiłuję się przyzwyczać do myśli, że go nie mam. To... boli.

- Ja też nie mam ojca. I nigdy nie miałem - szepnął Dave. - Próbowałem go znaleźć w Qui-Gonie, ale zginął zbyt wcześnie. Obi-Wan był za młody. Nie miał w sobie tego... czegoś.

- Znałeś Obi-Wana? - zdziwił się Luke. - Ale przecież...

Urwał... Obi-Wan przez dwadzieścia lat mieszkał na Tatooine, udając dziwnaczęgo pustelnika. Gdyby miał ucznia, ktoś by o tym wiedział.

- Nic się nie zgadza... - wyszeptał. - Skąd znałeś Bena?

- Uczył mnie... po Qui-Gonie - odrzekł Dave. - Niestety, nie nauczył mnie niczego... poza bólem i nienawiścią.

- Ben nie mógłby tego zrobić. Był... wcieleniem dobroci - zaproponował Luke. Wszystko nagle zaczęło mu się rozsypywać. Gdzieś w tej logice była luka...

- Dla ciebie... być może. Dla mnie był surowym nauczycielem, któremu zawsze było mało sukcesów. Nie mówmy o tym. Może kiedyś... jeśli uda nam się załatwić Imperatora, opowiem ci wszystko. Teraz chcę tylko wyjaśnić.

Odchylił się w tył na fotelu pilota i przymknął oczy.

- Luke... Już czas, żebyś zaczął myśleć. Wyciągać wnioski. Czy ty w ogóle słuchasz?

- Tak - jęknął Luke. Miał dość. Rozwiązywanie zagadek z Davidem w roli głównej trochę go w tej chwili przerastało. - Słyszę, że miałeś ciężkie dzieciństwo z Obi-Wanem, że... Czekać... Kiedy byłeś uczniem Obi-Wana? Przecież jesteś za młody...

„Myśl, Luke, myśl! Przecież nie powiem ci wprost, bo zemdlejesz!”

- Wszyscy twierdzą, że nie wyglądam na swoje lata, Luke.

Skywalker usiadł sztywno, lekko pochylając się w przód.

- Dave, słyszałeś moje pytanie? - wycedził, czując, że ogarnia go gniew. Skoro już został wciągnięty w tę rozmowę w chwili, kiedy miał na nią najmniej ochoty, niech przynajmniej coś się wyjaśni. - Kiedy i gdzie byłeś uczniem Obi-Wana Kenobiego?

David zaśmiał się nieszczerze. Czuł, że rozmowa idzie w złym kierunku. Jeśli Luke zamiast wyciągać wnioski, zacznie babrać się w podejrzeniach... sam doskonale wiedział, jakie wyniki daje

takie rozumowanie.

- Dawno temu... to naprawdę stare dzieje. Luke... - wyciągnął rękę i położył na ramieniu Jedi, niby lekko, ale w gruncie rzeczy przygwoździł go do fotela - Chciałbym ci coś powiedzieć, próbuję już od jakiegoś czasu, ale dla mnie samego brzmi to śmiesznie...

Luke spojrział na niego ponuro.

- Mów. Tylko już nie kręć, dobrze? Nie jestem w nastroju do rozszyfrowywania twoich zagadek.

- Ta będzie ostatnia, Luke - poważnie rzekł David i nabrał tchu w płuca. Niech to sobie brzmi, jak chce... - Miałeś rację. Twój ojciec nie był do końca zły... Jakaś mała częśćka jego dawnej osobowości, „najmilszego chłopca w galaktyce” ocalała.

- Skąd wiesz? - schrypniętym głosem spytał Luke. Pod naciskiem ręki Davida skulił się w sobie. Widać było, jak bardzo zmusza się do rozmowy.

- Byłem przy jego śmierci... w pewnym sensie. Zżerała go straszna choroba, jego ciało zaczęło odrzucać przeszczepy, które utrzymywały go przy życiu. Bardzo cierpiał. Nie miał szans...

Luke zacisnął pięści.

- I mnie przy nim nie było... - opuścił głowę. - To okropna świadomość. Chciałem...

- Luke... nie żałuj - współczująco zacisnął palce na ramieniu młodego Jedi. - Darth Vader umarł, a wraz z nim całe zło, które zniszczyło twojego ojca.

- I mój ojciec przy okazji.

- Nie.

Luke podniósł na niego wilgotne oczy.

- Nie?

- Nie.

- Dave... co ty mówisz?

- Yaro był kiedyś przywódcą spisku, który miał uśmiercić Vadera i Imperatora. Ale był Jedi, a Jedi nie potrafią tak po prostu zabić. Zawsze za dużo przy tym myślą. Żal mu było tej nieprawdopodobnej liczby midchlorianów...

- Czego? Już dawno miałem cię o to spytać...

- Tego, co podobno stanowi o tym, że możesz kontrolować Moc. Teraz nikt już ich nie liczy.

Anakin Skywalker miał ich naprawdę dużo, tak dużo, że podejrzewano, że został przez nie poczęty... co za bzdura! Był klonem innego wielkiego Jedi... ale to w tej chwili nieważne - Dave uśmiechnął się blado. - Dość, że przy jakiejś tam okazji Yaro pobrał komórki z ciała Vadera i stworzył kolejnego klona. I nazwał go Dave R. Dave-r. Vader.

Luke pobladł.

- Ty... jesteś klonem Vadera! Stąd to podobieństwo!

- Ja - uśmiechnął się Dave. - Niestety, nie mogli przeszczepić zżartego rakiem mózgu Vadera do nowego ciała. Megan opracowała unikatową metodę przenoszenia osobowości i wspomnień do nowego mózgu poprzez Moc... ale chyba coś nie wyszło. Darth Vader umarł, zanim przekazał całą zawartość swojego mózgu do mojego. Zdaje się, że nie zdążył przenieść Ciemnej Strony... Narodził się ktoś nowy. Człowiek o ciele młodego Anakina Skywalkera, duszy Dartha Vadera i świadomości... bo ja wiem, czyjej...

- Davida Randalla - pokiwał głową Luke. - Jesteś nimi trzema i nie wiesz, co z tym zrobić.

Dave uśmiechnął się smętnie.

- Gorzej. Nie jestem chyba żadnym z nich. Nie jestem Anakinem Skywalkerem, bo nie mam w sobie jego złości do świata, nie jestem Darthem Vaderem, bo brak mi jego pokory wobec Imperatora... ale najmniej chyba jestem Dave'em R. A jednocześnie mam w sobie pamięć ich

wszystkich, dzielę z nimi uczucia i... jak mogę mieć syna, który jest ode mnie młodszy o parę lat?

Bezradnie wzruszył ramionami..

- Myślałem, że powiem do ciebie „Luke, synu. Nie chciałeś iść ze mną, więc ja przyszedłem do ciebie. Razem zwyciężymy Imperatora i będziemy rządzić wszystkimi knajpami Galaktyki, jak ojciec i syn” - spojrzał na Luke’a z wyrzutem. - A ty okazałeś się taki... dorosły.

Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął palcami pulpitu sterowania. Powoli, ledwie muskając palcami przyciski, ustawił kurs na Gwiazdę Śmierci.

Luke, osłupiały i niezdolny wykrztusić słowa, wodził wzrokiem za jego gestami.

- Co robisz? - wychrypiał po chwili.

David przygryzł dolną wargę.

- Te knajpy będą musiały trochę poczekać... Mamy parę spraw do załatwienia.

Drzwi turbowindy rozsunęły się z cichym szelestem. Krąg szturmowców rozproszył się, ukazując dwóch więźniów ze skutymi dłońmi: Luke’a Skywalkera i Davida Randalla. Obaj westchnęli cicho na widok czarnej, ogromnej postaci, która wyszła na ich spotkanie. Luke z niedowierzaniem, Dave prawie z lękiem.

- Ci dwaj rebelianci poddali się nam - oznajmił komendant straży. - Może ich być więcej, choć oni twierdzą, że przylecieli tu sami. Proszę o pozwolenie na przeszukanie terenu.

Urwał, oczekując reakcji ze strony Czarnej Władcy. Odchrząknął, niezręcznie przestąpił z nogi na nogę.

- Mieli przy sobie tylko to - podał Vaderowi na wyciągniętej dłoni świetlny miecz Luke’a.

- Doskonale, komendancie. - powiedział Czarny Lord. - Proszę nas teraz opuścić i kontynuować poszukiwania.

Komendant wyprostował się słuźbiście i zasalutował.

- Tak jest, milordzie - orzekł, zrobił przepisowy w tył zwrot i gestem zapędził swoich ludzi z powrotem do turbowindy.

Vader zwrócił puste oczy maski w kierunku Davida, potem Luke’a. Zrobił krok w przód i stanął pomiędzy obu więźniami, wyraźnie ignorując Davida.

- Imperator czeka na ciebie, Luke.

David podniósł dumnie głowę. Nie w smak mu była ta rozmowa. A jeszcze bardziej nie podobało mu się oglądanie pleców swojego dawnego sobowtóra.

Czarny Lord zawahał się. Uniósł miecz, który podał mu dowódca szturmowców i powolnym ruchem włączył zielone ostrze..

- Zbudowałeś własny miecz - rzekł, znów zwracając się tylko do Luke’a. - Wiele się nauczyłeś. Jesteś potężnym Jedi, tak, jak to przewidział Imperator. Mądrze czyniłeś, że sam się poddałeś.

W tej samej sekundzie Luke uznał, że uległ złudzeniu optycznemu. A może to Moc...? Twarz Davida, do tej pory wyrażająca tę samą niepewność, którą i on odczuwał, nagle przybrała wyraz całkowitego spokoju i satysfakcji.

Lekki, ironiczny uśmiezek wykrzywił pełne wargi klona. Niespokojny dotąd wzrok nabrał nagle twardości i błysku stali.

Luke, spłoszony, szybko odwrócił wzrok, zastanawiając się, co oznacza ta przemiana. Czy ten mydłek rzeczywiście jest jego ojcem, czy tylko lekko skomplikowanym wariatem? A może to on sam zwariował?

Przez chwilę uwierzył czarnej postaci kusiciela z Bespin. Pewnie tego pożałuje.

- Mądrość jest cechą prawdziwego Jedi, czyż nie? - jakby w zadumie mruknął Vader.

- Tak, ojczu - wykrztusił Luke, starając się zachowywać tak, jakby miał do czynienia z prawdziwym Vaderem. A może tak było? Może David uwikłał go w sieć kłamstw, żeby uczynić z niego łatwiejszą ofiarę?

- Widzę, że zaakceptowałeś prawdę.

Zagłębił się w Moc i delikatnie zbadał górującą nad nim czarną postać.

Poprzez czarną maskę wyczuwał jedynie mechanizmy i półprzewodniki. Robot.

- Zaakceptowałem to, że jesteś Anakinem Skywalkerem, moim ojcem.

- To imię nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

- Wyczuwam, że jest w tobie dobro. Konflikt. Imperator nie zdołał go wyplenić do końca - zaryzykował Luke. Długo jeszcze tej komedii? Próbował wyobrazić sobie, że rozmawia z prawdziwym Czarnym Władcą. - Zapomniałeś, co to znaczy, ale teraz już wiesz. Nie oddasz nas w jego ręce.

Vader z cichym sykiem wyłączył miecz.

- Nie ma żadnego konfliktu - rzekł. - Obi-Wan też kiedyś myślał tak, jak ty.

Młody człowiek podniósł na niego wzrok. Vader stał nieruchomo, jakby czekając na coś, co nigdy nie nastąpiło.

- Nie znasz potęgi ciemnej strony, Luke. Muszę słuchać mojego mistrza.

Luke spojrzał najpierw na Vadera, potem na pobladłą, pokrytą kroplistym potem twarz Dave'a. Wiedział, co czuje tamten. Ta rozmowa mogła toczyć się między nimi.

- Nie przejdę na ciemną stronę, ojczu. Będziesz musiał mnie zabić.

- Jeśli takie jest twoje przeznaczenie...

Vader wyraźnie ignorował Davida, który także nie starał się rzucić w oczy. Wiedział, że przyjdzie kolej i na niego.

Rzeczywiście, nie czekając, aż Luke mu odpowie, Vader zwrócił się do niego, kładąc mu dłoń na ramionach.

- Witaj, mój uczniu. Imperator oczekuje cię z niecierpliwością. Wypełniłeś swoją misję. Jedi przyszedł tutaj bez oporu, tak, jak przewidziałeś.

Luke skurczył się w sobie, z trudem przełknął ślinę. Więc jednak!

Spojrzał na swego towarzysza. Wydawało mu się, że w szaroniebieskich oczach, jeszcze przed chwilą tak twardych i dumnych, dojrzał cień wahania. Już sam nie wiedział, w co wierzyć. Chwilowa równowaga, do jakiej doszedł po ich rozmowie na orbicie, została gwałtownie zachwiana. Wyciągnął rękę, lekko dotknął jego ramienia i zadrżał. Na moment wydawało mu się, że stracił przytomność. Otworzyła się przed nim czarna, dymiąca czeluść, z ogniem ukrytym na dnie. Węże iskier z sykiem strzelały w górę, białe smugi popiołu znaczyły powietrze jak dziwne hieroglify...

- Więc mój ojciec naprawdę umarł - szepnął Luke i odwrócił głowę.

Przez głowę przeleciała mu szalona myśl: wyrwać Vaderowi miecz, sieknąć jednego i drugiego przez głowę i wiać. Przez chwilę walczył z ogarniającą go paniką. Nie wiedział już, z kim i w co gra Dave, ale miał złe przeczucia.

Vader wystukał kod, otwierający kajdanki Dave'a.

Luke zagryzł wargi. Poczuł, że - jak zwykle zresztą - może liczyć wyłącznie na siebie.

Spokojnie weszli do windy.

Drzwi rozsunęły się z cichym szelestem, dwaj gwardziści w czerwonych szatach rozstąpili się, ukazując wysokie, białe schody, wiodące na podest, gdzie stał tron Imperatora.

Vader gestem nakazał im, aby poszli przodem. Sam szedł za nimi, nieco z boku, bliżej Dave'a.

Luke zdawał sobie sprawę, że tym razem wpakował się w znacznie poważniejsze kłopoty. Puste igraszki słowne, na które mógł sobie pozwolić z robotem, nie ujdą mu na sucho z Imperatorem.

Imperator siedział, a właściwie półleżał na swoim tronie, spoglądając na przybyszów zimnymi, żółtymi oczami. Pobrużdżona, trupiobladą twarz, wykrzywiona złym uśmiechem, wyglądała spod ciemnego, nisko opuszczonego kaptura.

Vader podszedł i ukląkł przed Imperatorem, podając mu miecz świetlny Luke'a. Władca udał, że go nie widzi.

- Achchch, Skywalker - wysyczał. - Nie przypuszczałem, że spotkamy się tak szybko, młody Jedi. Przyszedłeś, abym dokończył twego szkolenia...

Luke podniósł głowę.

- Nie, panie. Twoje szkolenie nie jest mi potrzebne. Nie odmienisz mnie tak, jak mojego ojca.

- Nie? Dobrze, mój młody przyjacielu.

Zapadła chwila ciszy, którą mącił tylko rytmiczny odgłos respiratora Vadera, cichy świst wędrujących turbowind i słabe, głuche odgłosy dobiegające ze studni reaktora.

Imperator przenikliwym wzrokiem spojrzał na Dave'a. Luke wstrzymał oddech.

- A więc tu się ukryłeś - rzekł cicho Palpatine. - Sprytnie. Przyszedłeś, żeby prosić mnie o pomoc? Czy po to, aby wreszcie umrzeć naprawdę? A może po jedno i drugie?

Dave miękko opadł na jedno kolano i opuścił głowę.

- Tak, panie. Po jedno i drugie. Jestem tutaj po to, żeby ci służyć - rzekł z dziwną pokorą w głosie. - I umrzeć, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jak widzisz, to ja przyprowadziłem ci nowego ucznia.

Podniósł na niego wzrok i Luke'a przeszedł dreszcz. David spoglądał na Palpatine'a jak na dawno nie widzianego, ukochanego ojca.

Wzdrygnął się lekko. Zaufał mu. Kilka godzin temu to na niego David patrzył tymi samymi, błyszczącymi wzruszeniem oczami.

Idiota.

- Zasłużyłeś na mój gniew, Anakinie - łagodnie upomniął go Imperator. - Podstawiłeś mi robota, oszukałeś mnie. Czyżbyś sądził, że się nie połapię? Że cię nie znajdę?

- Nie, panie - Dave schylił głowę jeszcze niżej. - Dałem ci znak, a ty odczytałeś go właściwie. Vader nie może umrzeć. Jest symbolem twojej potęgi. Potęgi ciemnej strony Mocy. Kiedyś powiedziałem ci, że syn Skywalkera przyłączy się do nas, lub zginie. Teraz stoi przed tobą, sprowadzony tu skuteczniej, niż przy pomocy karbonitu i łowców nagród. Przyszedł sam. Z własnej woli.

Imperator zdawał się ważyć jego słowa.

- Byłeś wśród rebeliantów? - zapytał po chwili. - Zdobyłeś ich zaufanie?

- Tak, panie. Ufają mi, choć nie do końca, jednak znam ich plany i wiem, kiedy chcą uderzyć.

- Ja też znam ich plany, głupcze - Imperator pokiwał głową. - Znam je tak dobrze, jakbym sam wsadził je w ich głowy...

Skinął dłonią na dwóch gwardzistów, stojących w niewielkiej odległości od tronu.

- Zabierzcie tę kukłę sprzed moich oczu.

Pochylił się ku Dave'owi i uniósł dłoń. Miecz świetlny Luke'a pofrunął ku niemu z dłoni Vadera, a sam robot zwinnie cofnął się przed wyciągniętymi dłońmi czerwono odzianych strażników i pospiesznie usunął się w cień, gdzie stanął nieruchomo, wyprostowany, jak posąg.

- Tak lepiej - Palpatine znów rozparł się wygodnie na tronie, kładąc miecz na podłokietniku.

- Wszystko, co się do tej pory zdarzyło, stało się za moją wiedzą i zgodą - oznajmił po chwili milczenia. - Począwszy od przekazania rebeliantom informacji o położeniu generatora, poprzez

rozpuszczenie plotek o chorobie Vadera, aż po sprowadzenie was tutaj. Na dobrą sprawę mogłem dość długo współpracować z tym robotem. Dobrze go zaprogramowałeś, Anakinie Skywalkerze, choć może zbyt mało w nim twojej żarliwości. Wszystko toczy się zgodnie z planem. Zanim księżyc okrąży planetę, po waszej nic nie znaczącej rebelii pozostanie jedynie wspomnienie.

Luke uśmiechnął się ironicznie.

- Być może, panie. Ale nasza nic nie znacząca rebelia zabierze ze sobą także i ciebie.

Palpatine przymknął oczy.

- Masz nadzieję, że waszej nędznej flocie uda się powtórzyć wyczyn spod Yavin? Mój młody uczniu, posłuchaj swej pierwszej lekcji: nigdy nie ufaj informatorom. Ta stacja, choć wygląda na niedokończoną, jest w pełni sprawna i posiada wszystkie niezbędne zabezpieczenia, włącznie z wewnętrznym generatorem pola. Och - wykrzywił twarz w grymasie, który miał udawać współczucie - Obawiam się, że jeśli nawet twoim szalonym przyjaciółom uda się wyłączyć pole, czeka ich niemiła niespodzianka, kiedy rozbiją sobie nosy o drugie, jeszcze potężniejsze. Tymczasem wierz mi, że z przykrością wydam polecenie, aby strzelano do wszystkiego, co się rusza...

Luke zacisnął pięści. Tego właśnie się obawiał. Znów spojrzał na Davida, który skrzyżował ramiona na piersi i z uwagą śledził wymianę zdań. W oczach miał ciemność i gniew.

Przeniósł wzrok na Imperatora, na miecz, spoczywający spokojnie pod jego dłonią i szybko przymknął oczy.

- Widzę, że wzbiera w tobie gniew, mój młody Jedi - zadrwił Imperator. - To już nam nie będzie potrzebne - skinięciem palca uwolnił Luke'a z kajdanków, które z brzękiem spadły na posadzkę. W panującej ciszy brzęk ten zabrzmiał jak wystrzał. - Będiesz mój, jak twój ojciec, któremu na nic się zdała zmiana ciała. Z gnijącej, na pół zmechanizowanej bestii stał się bestią żywą i zdrową. Nieprawdaż, Anakinie?

Urwał i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w okno.

- Jeszcze nie przylecieli... Zabawne, czyżby się zlekli? Nieważne, czy przylecą dziś czy jutro, mój uczniu. Wynik będzie ten sam. Dałem im szansę, aby z honorem zejść ze sceny, ale jeśli nie zaatakują, moja stacja rozniesie w proch ten księżyc, a wraz z nim kwiat rebelianckiej młodzieży, która zapewne właśnie w tej chwili zmierza w kierunku generatora.

Luke'owi pociemniało w oczach. Dobrze to wszystko wymyślił! Za jednym zamachem ukręci łeb Rebelii, zdobędzie ucznia i odzyska Vadera. Nie przewidział tylko, że jeden odruch miękkiego serca przesunie całą operację o dwa dni...

- Widzę, że gniew w tobie wzbiera, mój młody przyjacielu. Dobrze. Jeśli weźmiesz teraz miecz i ugodzisz mnie w serce, twoja droga ku ciemnej stronie dobiegnie końca... Nie bój się gniewu... Uderz we mnie całą siłą swojej nienawiści... Jestem bezbronny... To twój wybór, i tylko twój...

Podniósł twarz. Przez chwilę wsłuchiwał się w ciemność.

- Kochasz swoich przyjaciół, troszczysz się o ich los. Nie chciałbyś, żeby zginęli, prawda? Zwłaszcza... siostra! Masz bliźniaczą siostrę? Anakinie, czy to możliwe?

- Tak, panie - odparł zapytany, znów skłaniając głowę.

Imperator w zadumie potarł podbródek, uśmiechnął się przebiegle.

- Cóż, młody Jedi... zawsze to jedna możliwość więcej. Jeśli ty nie przejdiesz na ciemną stronę, z pewnością uczyni to ona...

- Neeeeee! - Luke nie wytrzymał napięcia. Wyciągnął rękę - miecz wskoczył do niej jak pociągnięty niewidzialną nitką, uaktywnił ostrze i ciał na oślep, wprost w złowieszczo uśmiechnięte oblicze Imperatora.

Zanim jednak zielony promień dotarł do celu, natrafił na świetliste czerwone ostrze miecza, który

Anakin Skywalker - znany również jako Dave Randall - przywołał do siebie od pasa nieruchomego robota.

Sprawnie odepchnął ostrze Luke'a i stanął w pozycji obronnej, pozwalając, aby młody Jedi przejął inicjatywę. Z mieczem ukośnie wzniesionym, z rękojeścią na wysokości pasa, lekko pochylony okrążał Luke'a, który bez namysłu po raz drugi natarł na Imperatora.

I po raz drugi jego ostrze zostało skutecznie zablokowane przez czerwony promień.

Palpatine był zachwycony. Wybuchnął zgrzytliwym chichotem szaleńca.

- Dobrze... Świetnie, moi uczniowie... Ten, który okaże się silniejszy, zajmie miejsce u mojego boku. Niech się rozpocznie pojedynek! - klasnął w dłonie, jakby znajdował się na arenie, a nie w sali tronowej, gdzie dwóch młodych ludzi zamierzało się potykać bynajmniej nie dla zabawy.

Jego słowa sprawiły, że Luke zdążył trochę ochłonąć. Pojedynek? Nonsens. Ten gość w czarnym kapturze jest wariatem, i to niebezpiecznym. Nagle przestał postrzegać Palpatine'a jako władcę, Imperatora, osobę, za którą stoi armia i od której skinienia zależą losy galaktyki. Wyłączył miecz i wyprostował się.

- Nie będę z nim walczył, Wasza Wysokość - rzekł.

- Niezdrowo jest wyłączać miecz w czasie walki, Luke - syknął Dave. - Boisz się stanąć do walki jak mężczyzna z mężczyzną?

Opuścił ostrze i wyzywająco spojrzął na Luke'a, który oddychał głęboko, usiłując odzyskać połączenie z Mocą. Przed chwilą poczuł muśnięcie Ciemnej Strony i dotyk ten zmroził go jak kropla ciekłego azotu. Gdyby nie Dave... zabiłby Imperatora.

Z każdą chwilą narastało w nim wrażenie potwornego, bezsensownego koszmaru.

- Boję się stanąć do walki jak mężczyzna z ledwo wyleczonym rekonwalescentem - odrzekł z lekką ironią. - Nie będę się upierał przy posadzie na dworze, Dave.

- Nie obawiaj się, Luke - Dave nie zgasił ostrza, lecz trzymał je w pozycji parady, tak jak przedtem. - Wystarczy mi sił, żeby z tobą walczyć.

Gwałtownie natarł na Luke'a, który chcąc nie chcąc musiał się zasłonić. Przez chwilę w sali słychać było tylko przyspieszone oddechy przeciwników, świst i trzask świetlnych ostrzy i pełne satysfakcji syczenie Imperatora...

Wbrew obawom Luke'a, Dave nacierał ostro, zmuszając go do cofania się i przypierając go do ściany. Luke przeszedł do chwytu jednoręcznego, drugą dłonią wymacał pęk kabli zwisający ze sklepienia i skoczył w górę, chwytając się ich prawie pod samym sufitem.

- Nie uciekniesz mi, Luke - łagodnie skarcił go Dave. - Starego ojca pewnie byś pokonał, ale nie mnie...

Zawinał mieczem młynka i rzucił go w górę. Ostrze wirując zmusiło Luke'a do podniesienia miecza, ale i tak trafiło w kable, przecinając je jak nitkę.

Część świateł i ekranów przygasła, kilka sypnęło iskrami.

Luke miękko wylądował na stopach, odbił się, przewinął w powietrzu i znalazł za plecami Davida. Z satysfakcją odnotował, że tamten oddycha z coraz większym trudem.

Randall okręcił się na pięcie i natarł na niego z impetem, jednocześnie Mocą unosząc rozmaite przedmioty i ciskając nimi w przeciwnika.

- Dobrze! Dobrze, mój uczniu! Nie ten walczy, kto walczy, ale ten, kto zwycięża!

Imperator aż uniósł się z tronu, chichocząc jak wariat.

Luke znów nacierał, usiłując opędzić się od napastnika, unieszkodliwić go bodaj na chwilę.

David odskoczył, zakręcił się w miejscu, tnąc oburącz jak toporem. Luke sparował cios, ale czuł,

że ręce zaczynają mu drętwieć. Znów zaatakował, próbując przerwać obronę przeciwnika czystą, fizyczną siłą. David zablokował cięcie. Przez chwilę ich miecze zwały się ze sobą w połowie długości. Stali prawie ramię przy ramieniu, gdyby którykolwiek okazał się silniejszy, obciąłby drugiemu ramię z przyległościami.

Odepchnął Davida od siebie, wykorzystując zwarte ostrze jako podporę do salta w tył i dopiero w powietrzu cofnął broń. Wylądował na szeroko rozstawionych nogach i lekko pochylony próbował zaatakować od dołu.

I wtedy popełnił oczywisty błąd, a może Dave był takim mistrzem. Zamiast zablokować cios z góry, Randall ciął od dołu, jeszcze niżej, podbił klingę Luke'a i gdyby w tej samej chwili nie zachwiał się na nogach, mógł go bez trudu przeciąć na pół.

Luke poczuł parzące muśnięcie na brzuchu i odskoczył.

David cofnął się, szykując do kolejnego ataku. Zwarli się w ciasnym klinczu, twarz w twarz, ostrze przy ostrzu. Luke czuł na twarzy deszcz iskier z obu kling, ale nie zamierzał się cofnąć.

Spojrzał w oczy Dave'a, widoczne pomiędzy dwoma jaskrawymi smugami światła i zamarł. Nie było w nich tej roziskrzanej ogniem ciemności, którą widział przed chwilą, a jedynie błaganie śmiertelnie zmęczonego, pełnego rozpaczony człowieka.

- Dobij mnie! - syknął Dave przez zaciśnięte zęby. Po czole, policzkach i nosie spływały mu krople potu, na policzki wystąpiły niezdrowe, czerwone plamy. Widać było, że jest u kresu sił, że tylko Moc pozwala mu jeszcze trzymać się na nogach.

Dobić? Kolejna bzdura w tym szalonym koszmarze.

- Luke... błagam!

Nie każ mi wracać...

Nagle poczuł w głębi duszy ogromne, promieniujące ciepło. Dave nie zdradził! W jednej chwili pojął, co się stało: David próbował go ocalić na wszelkie możliwe sposoby, próbując najpierw grać swą dawną rolę, potem powstrzymując go przed zabiciem Imperatora, a teraz chce zginać, aby Luke mógł... Nie, stary!

Luke pchnął z całej siły, zatoczył krąg mieczem i uderzył tuż nad dłonią tamtego, przy akompaniamencie oślepiającej fontanny iskier ścinając mu całą tarczę emisyjną i z pół ogniwa. I z pół milimetra skóry na dłoni.

Czerwone ostrze rozbryznięło się w pióropusz dymu i zgasło z cichym skwierczeniem.

Dave krzyknął z bólu, chwycił się za zranioną dłoń, ale nie zdążył uciec. Luke wyskoczył w górę, pchnął go stopami w pierś, przewrócił na wznak i stanął nad nim, końcem ostrza celując w jego krtań.

- Leżysz, Anakinie, czy jak ci tam - spokojnie rzekł Luke, końcem buta odpychając resztki miecza Vadera. - Pojedynek skończony.

- Dobrze! - odezwał się Imperator. - Doskonale! Nienawiść dodała ci sił. Teraz wypełnij swoje przeznaczenie i zajmij miejsce ojca u mego boku!

Luke odrzucił w tył włosy, otarł pot z czoła i spojrzał najpierw na zgrzybiałego, przeżartego złem władcę, potem na leżącego u swych stóp Davida, który chyba zemdlał, bo oczy miał zamknięte, wreszcie na czarną, posępną postać w kącie.

Wyłączył miecz, przypiął go z powrotem do pasa i podniósł wzrok na Imperatora.

- Nigdy, Wasza Wysokość. Nigdy nie przejdę na ciemną stronę. Jestem Jedi, jak niegdyś mój ojciec.

Imperator znieruchomiał. Podniósł głowę, przekrzywił ją lekko, jakby usłyszał jakiś dźwięk, którego nie był w stanie zidentyfikować do końca. Wściekłość, jaka w nim wzbierała, była niemal

namacalna.

- Niech ci będzie... Jedi - rzekł wreszcie. - Jeśli nie chcesz zmienić zdania, zmienisz stan skupienia.

Podniósł obie ręce i wypuścił z nich błękitne błyskawice, tak potężne, że szarpnęły ciałem Luke'a i powaliły go na ziemię. Błędne ogniki rozpląły się po jego ubraniu, przelały się po stroju Jedi. Luke skulił się, usiłując zasłonić się przed nieziemską energią, ale zyskał tylko tyle, że opętany żądzą zemsty i zniszczenia Imperator posłał mu kolejną falę czarnego ognia. Tym razem snop iskier dosięgnął również Dave'a, który zadrżał, konwulsyjnie wygiął się w łuk i oprzytomniał, jak pod wpływem elektrowstrząsu.

Znał to uczucie. Wiedział, że oznacza rychłą śmierć w męczarniach. Półprzytomnym wzrokiem spojrzął na oszalałego z gniewu władcę. Przypadkowo posłana w jego kierunku fala energii zelektryzowała go do działania. Ruszył na czworakach w kierunku Luke'a, który wił się pod siecią błękitnego ognia i rzucił się na niego, osłaniając go własnym ciałem, wchłaniając śmiercionośną energię.

Nagle wszystko ustało.

Zapadła głucha cisza.

David i Luke podnieśli głowy, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Imperator podszedł bliżej, jakby zaciekawiony. Pod światło jego sylwetka, otoczona delikatnym błękitnym konturem, wydawała się ogromna. Oczy jarzyły się spod kaptura jak u Jawy.

Pochylił się nad leżącymi.

- Głupcy! - syknął. - Myśleliście, że zdołacie mnie oszukać fałszywą walką? Nie przekonały mnie twoje skamlania i pokora, Anakinie Skywalkerze. Nie mnie chciałeś ocalić, lecz swego syna. Od początku widziałem wasze porozumienie. Głupcy! Mogliście być potężni, najpotężniejsi w galaktyce... Teraz zginiecie... Obaj.

Pochylił się nad nimi i wyciągnął ręce. Z palców trysnęły mu snopy błękitnego ognia.

- Głupcy! Głupcy! Głupcy! - powtarzał w kółko. Za każdym powtórzeniem snop błyskawic tryskający z jego palców przybierał na sile, aż wreszcie zmienił się w biało-niebieską, sypiącą iskrami rzekę zimnego płomienia i całkowicie zakrył leżących.

David przez kilka sekund na przemian wchłaniał i odpychał tę kaskadę energii, usiłując chronić przed nią Luke'a, ale szybko stracił siły. Teraz obaj wili się i skręcali z palącego bólu, zastanawiając się, czy śmierć przyjdzie już, teraz, czy za chwilę.

I znów strumień energii zgasł równie szybko, jak się pojawił. Imperator wyprostował się i na moment odsłonił twarz.

Twarz szaleńca.

- A teraz, młodzi Jedi - wycedził, śmiejąc się szyderczo - umrzecie!

Tym razem błyskawice Mocy posypały się z jego rąk z taką siłą, że ubrania zaczęły się na nich palić. Luke stracił przytomność. David, trochę silniejszy, wytrzymał jeszcze, osłaniając go własnym ciałem, ale na rękach i twarzy miał już rany jak od poparzenia prądem elektrycznym. Zaciśnął powieki, czując ukłucia i trzaski wyładowań i marząc, żeby już było po wszystkim. Z oddali słyszał czyjeś jęki... długo trwało, zanim się zorientował, że to jego własny głos. Wdychał odór palącego się ciała i wciąż osłaniał Luke'a w nadziei, że tamten zdoła przetrwać.

Pochłonięty wyrafinowaną torturą Imperator nie zauważył, jak za jego plecami bezszelestnie pojawiła się czarna postać. Przez kilka sekund robot-Vader stał za nim, obserwując całą scenę i jakby zastanawiając się, co robić, po czym chwycił go pod pachy i całą siłą mechanicznych mięśni uniósł w górę.

Imperator rozpaczliwie zamachał ramionami, usiłując się uwolnić. Rozproszone strumienie energii odbijały się od ścian i sufitu, niszcząc wszystko, co napotkały na swojej drodze. Posypały się odłamki tworzywa, płonące płyty farby, powietrze wypełnił dym palących się kabli.

Nie zważając na ból w poparzonym ciele, David-Anakin uniósł się na łokciu i rozejrzał.

Vader dwoma susami dopadł studni reaktora, wznosił miotającego się władcę wysoko nad głowę i cisnął go w głąb studni. Władca, szamocząc się i łopocząc szatą, jakby chciał wznieść się na niej w górę, spadał w niezgłębioną czeluść przez dobrych kilka sekund, siejąc wokół błyskawicami i budząc uśpione echa.

Vader spokojnie spoglądał w ślad za nim, wsparty o barierkę, opanowany, jak przystało na robota. Sam był osypany kaskadami parzących iskier i jego ubranie zaczęło się tlić. Z szybu wytrysnęła ostatnia, szczególnie potężna błyskawica, znacząca odejście Imperatora, uderzyła w sklepienie, odbiła się i trafiła w robota, powalając go na ziemię w błysku potwornego wyładowania.

Nagle podłoga i ściany zdrząły, jakby jakaś wewnętrzna eksplozja rozsadzała wnętrza stacji. Wszystkie systemy alarmowe, syreny, buczi, sygnalizacja świetlna obudziły się do życia i wypełniły powietrze ogłuszającym jazgotem.

Reaktor nie był w stanie przyjąć takiej masy energii i rozpoczęła się procedura samozniszczenia.

- Pożegnalny prezent - syknął David. - Ta przerośnięta mechaniczna pomarańcza zaraz eksploduje.

Dźwignął się i chwiejnie stanął na nogach. Piersi rozsadzał mu ból. Każdy ruch związany był z cierpieniem.

Spojrzał na nieprzytomnego Luke'a, potem na dopalające się zgliszcza Vadera i stał tak przez chwilę całkiem nieruchomo, zastanawiając się, co robić. Ukłąkł przy Luke'u i wymierzył mu kilka soczystych policzków, po czym oparł dłonie na kolanach, czekając na efekt. Niespokojnie złapał chłopaka za włosy, potrząsnął lekko i zajrzał mu pod powieki.

- O, Sith - syknął i zerwał się na nogi. Chyba załatwi dwie sprawy za jednym zamachem, choć może w nieco inny sposób, niż zamierzał.

Rzucił się w kierunku skrzydła medycznego. Dopadł turbowindy, tylko po to, żeby się przekonać, że jest zajęta przez ewakuujących się szturmowców. W obliczu niebezpieczeństwa nikt nie przestrzegał hierarchii. Walnął pięścią w drzwi i pobiegł schodami.

Wydawało mu się, że każda minuta ciągnie się w godziny. Schodów było więcej, niż pamiętał, dlatego zamiast zbiegać, posuwał się skokami z podestu na podest. Zaczynało brakować mu sił, oddech stawał się coraz krótszy. Spokojna, dająca satysfakcję mięśniom zaprawa w bazie Rebeliantów nie na wiele mu się teraz zdała. Miał wrażenie, że schody wydłużają się w jakąś szaloną pętlę Möbiusa, a on pędzi po nich jak oszalała mysz.

Korytarze pełne były spanikowanych ludzi. Imperator nie uznawał obcych w swoim otoczeniu, z wyjątkiem...

Dlaczego TAM jest tak pusto?

David stanął jak wryty, dysząc tak ciężko, że miał wrażenie, jakby płuca mu płonęły. Korytarz na pewnym odcinku był całkowicie pusty, ci, którzy chcieli go przebyć, tłoczyli się bocznymi odnogami, przepychali się przez rzędy pomieszczeń, które na tę okazję połączone otworami wykonanymi przy pomocy blasterów.

Pośrodku korytarza stała eskorta Xizora. Widocznie czekali, aż ich pan raczy się przygotować do odlotu.

Ten łotr jeszcze żyje...

W innym przypadku być może David próbowałby zająć się księciem i załatwić z nim porachunki

raz na zawsze, ale teraz miał inne sprawy na głowie.

Przebiegł przez pustą przestrzeń obok gwardzistów, niedbale odbijając dłonią wystrzelone w jego kierunku promienie.

- Zwrot do nadawcy - mruknął i otrzepał rękę, krzywiąc się z bólu. Oparzenia zmieniły się w ciekące pęcherze, płuca pękały mu z wysiłku, nogi były jak z waty. „Za chwilę sam będę najlepszym kandydatem do skrzydła medycznego” pomyślał i pchnął rozsuwane drzwi.

Błękit korytarza i nareszcie nieco wolnej przestrzeni podziałały na niego jak balsam.

Oparł się na chwilę o ścianę, próbując wyrównać oddech.

Centrum medyczne działało normalnie. Roboty przygotowywały sprzęt do ewakuacji, ale praca nie ustawała ani na chwilę. David rozejrzał się szybko - zbyt szybko, bo zakręciło mu się w głowie. Przymknął oczy.

- Spokojnie... - szepnął. - Od twojej głupiej głowy zależy życie trojga ludzi...

Powoli oderwał się od ściany i ruszył w kierunku pomieszczeń lekarzy, ale kłody, które miał zamiast nóg, odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł na kolana... czy to podłoga skoczyła na niego?

- Dave! Nieba, jak ty wyglądasz! - otoczyły go pachnące wanilią ramiona, musnęły ciepłe, złociste włosy. Pielęgniarka uklękła obok niego, próbując go dźwignąć, ale był zbyt ciężki, więc tylko przysiadła, pochylając się nad nim.

- Dave... co się stało?

- Megan - wyszeptał i miał ochotę zemdleć, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Pozwolił sobie jedynie na to, żeby chwycić ją za szyję i przyciągnąć do siebie. Zanim zdążyła zareagować, wycisnął na jej ustach długi, gorący pocałunek, o którym zawsze marzył, a którego nigdy nie miał okazji zasmakować.

Chyba nawet nie była zdziwiona, bo tylko wyprostowała się i delikatnie ujęła go za ramiona, ani nie odpychając, ani nie przyciągając, złączona z nim jedynie dłońmi i ustami.

Dopiero po dłuższej chwili odsunęła się i uwolniła.

- Co się stało? - powtórzyła łagodnie. Oddech miała lekko przyspieszony.

Uśmiechnął się i raz jeszcze musnął ustami jej wargi. I pomyśleć, że jeszcze niedawno zastanawiał się, co wybrać...

- Imperator nie żyje - szepnął z takim ogromem czułości, jakby wyznawał jej miłość. - Gwiazda zaraz eksploduje, a ja mam rannego i... chciałem zabrać ciebie i Yaro do rebeliantów.

Podniosła wzrok. Teraz była już tylko lekarzem.

- Gdzie jesteście? - uśmiechnęła się na widok jego lekko oszołomionej miny. - Daj mi pięć minut na spakowanie narzędzi i opatrunków. Spotkamy się... gdzie?

- W sali tronowej. Będę tam czekał.

Skinęła głową.

- Jeśli wstaniesz - zauważyła rzeczowo.

- Wstanę...

Podwinął nogi i spróbował spełnić obietnicę, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Czuł, że się dusi.

Jak przez watę słyszał głos Megan, wydający polecenia tonem nie znoszącym sprzeciwu. Poczuł na skroniach jej chłodne, delikatne palce. W chwilę później dotyk zastąpiło lekkie, ledwie wyczuwalne uczucie mrowienia, a potem ta sama dłoń, już nieco cieplejsza, wsunęła się w wycięcie kołnierza jego bluzy i spoczęła na sercu. Nagle zaczęło mu się lżej oddychać, a w chwili potem szalone kołatanie i pulsowanie w skroniach także uspokoiło się na tyle, że wrócił do rzeczywistości. Uniósł rękę i przytrzymał nią dłoń Megan. Czuł wyraźnie, jak z tej dłoni do całego jego organizmu

przesączażają się ożywcze nitki energii. Nie był pewny, co to znaczy, ale kiedy otworzył oczy i ujrzał jej przymknięte powieki, długie, złociste rzęsy drżące jak od nadludzkiego wysiłku...

- Ty też jesteś Jedi... - wyszeptał. - Nie... nie zabieraj ręki...

Leciutko pocałowała go w czoło i, pomimo protestów, wyjęła dłoń z za jego bluzy.

- A twierdziłeś, że już nigdy w życiu nie włożysz nic czarnego - uśmiechnęła się i odgarnęła mu kosmyk mokrych włosów z czoła. - Grzeczny chłopiec. Pędź do tego rannego. Masz - sięgnęła do kieszeni kombinezonu i wepchnęła mu w dłoń garść opatrunków z bactą. - Resztę przyniesiemy.

Wstał, zdumiony, że w ogóle może chodzić. Na chwilę pociemniało mu w oczach, ale czuł się znacznie lepiej. Megan nie tylko była Jedi... była również wyjątkowo zdolną Uzdrowicielką.

Która skończy swoją karierę tu i teraz, jeśli on, były Darth Vader, nie ruszy się stąd i to jak najszybciej...

Powrotna droga wydawała mu się jeszcze dłuższa, o ile to w ogóle możliwe. Tyle tylko, że tym razem schody trzeba było pokonywać pod górę, a w korytarzu było już tak, jak wszędzie: tłok, panika, krzyki i pozory zorganizowanej ewakuacji.

W dźwięk alarmów wdarł się zimny, bezosobowy głos komputera.

- Do samozniszczenia trzy minuty i trzydzieści sekund...

Jakiś szturmowiec przegalopował mu po palcach stóp i wbił łokieć w żołądek, aż David zobaczył wszystkie gwiazdy.

Nie!!! David odbił się od podestu i przebył od razu odległość ponad trzech pięter. Ostatnią kondygnację po prostu przeleciał, koziołkując w powietrzu. Zabieg wykonany przez Megan był prosty, ale bardzo skuteczny i ta skuteczność narastała z czasem, w miarę, jak żywa energia Mocy rozplywała się wraz z krwią po całym organizmie.

Po chwili miał już na tyle siły, żeby się zastanowić, co właściwie go tak ożywiło: Moc czy ten pocałunek...

Wylądował przed drzwiami wiodącymi do sali tronowej i otworzył je kopniakiem. Wyleciały z prowadnic i z hukiem łupnęły o podłogę, pękając na pół.

David wpadł do sali i rozejrzał się, chwytając powietrze szeroko otwartymi ustami.

Luke leżał tam, gdzie przedtem, oczy miał otwarte i nieruchome, i wydawał się być w szoku. David podbiegł, podłożył mu rękę pod głowę i plecy, dźwignął go do pozycji siedzącej. Młody Jedi zachwiał się jak drewniana lalka.

David w odruchu rozpaczy potrząsnął nim, jeszcze raz uderzył go w twarz, aż klasnęło.

- Hej, chyba nadrobię wszystkie stracone lata - mruknął. Luke spojrzał na niego nieskończenie tępym wzrokiem.

- Gzzzieee - wybełkotał i zrezygnował, kiedy stwierdził, że język nie chce go słuchać.

- Luke! Musimy wiać, stary, bo wylecimy razem ze stacją! - łagodnie, pół ramieniem, a pół Mocą, szarpnął go do pozycji stojącej i pociągnął w kierunku prywatnej turbowindy Imperatora, która wiodła do prywatnego hangaru i również prywatnego wahadłowca Jego Wysokości.

Minuta i piętnaście sekund.

Megan, Yaro i dwa roboty medyczne stali w progu sali tronowej, obładowani sprzętem i lekarstwami i nie wiadomo, czym jeszcze. Wolał nie wiedzieć, jak się tu dostali.

Wstał i, jednym ramieniem podpierając zwisającego bezwładnie Luke'a, drugim zamachał do nich.

- Szybko! Do hangaru! - zawołał. - Nie mamy ani chwili do stracenia!

Yaro przekazał swoje bagaże robotowi i palcem wskazał mu turbowindę, a sam podbiegł do Davida, odbierając od niego półprzytomnego Jedi. Poprowadził go przed sobą, zawieszono go w

powietrzu jak worek.

Minuta i dziesięć sekund.

Megan z robotami wepchnęła się do windy, Yaro i Luke także, ale Dave nie wszedł. Cofnął się, machnął ręką, żeby zjeżdżali sami.

- Zmieścisz się! - krzyknęła Megan. Dave pokręcił głową.

- Poziom minus 41 B sektor 5 - rzucił przez ramię, a sam oparł się plecami o ścianę i zaczął liczyć. - Czekaście w wahadłowcu!

Minuta i pięć sekund.

Czas propagacji wybuchu w przypadku tej wyjątkowo mocnej i stabilnej konstrukcji może dać im nawet dwie-trzy minuty, ale rozsądnie przyjął, że ponad czas podawany przez komputer ma tylko półtorej minuty.

Błądził wzrokiem po sali tronowej, odnotowując w pamięci ślady, pozostawione przez walkę. Ma akurat tyle czasu, żeby odpocząć... Leniwie oderwał się od ściany, podszedł do tronu i usiadł na nim. Machinalnie oderwał z niego kilka bezcennych ozdób i podrzucił w dłoni. Ładne. Włożył je do kieszeni. Zachęcony tą zdobyczą, rozejrzał się wokół siebie całkiem innym wzrokiem. Błyskawicznie odnotował, co warto zabrać ze sobą, a co stanowi szmelc.

Czterdzieści pięć sekund.

Winda za chwilę będzie tu z powrotem. Dave nawet się nie spieszył. Siedział na tronie z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie, rozkoszował się chwilowym relaksem i skinieniem przywoływał ku sobie co cenniejsze urządzenia i fragmenty sprzętu, każąc im ustawiać się przy windzie. Kiedy uznał, że zebrał już dość, wstał powoli, krzywiąc się niemiłosiernie, gdy storturowane stopy znów przyjęły na siebie ciężar ciała. Powoli, opierając się o poręcz szybu, podszedł do osmalonej kupy żelastwa, okrytej miękką, jedwabistą materią.

- Nie sądziłeś chyba, że cię tu zostawię - skinął dłonią i zniszczony robot ślizgiem dołączył do stosu żelastwa.

Trzydzieści pięć sekund do samozniszczenia.

Minus piętnaście podróży windą.

Drzwi rozsunęły się i Dave wpakował do windy najpierw zdobycz, potem siebie.

Minęło kolejne dziesięć sekund.

Wydawało się, że podróż trwa w nieskończoność, ale za to na dole czekała go miła niespodzianka - Yaro podciągnął statek prawie pod same drzwi windy. Rampa była już na pół uniesiona.

- Chcesz to wszystko zabrać ze sobą? - zdziwił się stary Jedi.

- A co, ma zostać? - Dave wzruszył ramionami i skierował kupę pozornie niepotrzebnego złomu do ładowni.

Rozejrzał się wokoło. W doku stały jeszcze trzy statki, ale sądząc po dygoczących pod naporem uderzeń drzwiach wejść konserwacyjnych, niedługo znajdą załogi.

Albo i nie.

Dziesięć sekund do wybuchu.

Zaklął pod nosem. Tu, bliżej środka stacji, mieli znacznie mniej czasu.

Dok zadygotał. Dave wskoczył na rampę i od razu rzucił się do sterów. Yaro zamykał za nim śluzy.

Statek poderwał się, przesunął o kilkanaście metrów. Czujniki wykazywały przegrzanie powłoki.

ZERO!

Cisza.

I nagle, jak cichy, odległy jeszcze grom, pokład doku przebiegło drżenie, coraz silniejsze, silniejsze...

Statek uniósł się na repulsorach, wymijając trzy pozostałe jednostki.

Eksplozja wyrzuciła ich w przestrzeń wraz z tonami odłamków i płonących materiałów. Dave dopiero teraz włączył tarcze, pozwalając, aby siła wybuchu wyniosła ich jak najdalej, zanim ruszą przed siebie.

Rozdział 5

Prawo robotyki.

Luke powoli otworzył oczy. Zamrugał kilkakrotnie, próbując usunąć sprzed oczu mgłę, która utrudniała mu widzenie. Ujrzał znajomą twarz... bardzo znajomą. Skrzywił się. Nie potrafił jej umiejscowić... nie do końca.

Pochylony nad nim David delikatnie odgarnął mu włosy z czoła i sprawdził, czy nie ma gorączki. Uśmiechnął się do młodzieńca.

- Lepiej? - zapytał.

- Lepiej... - Luke skrzywił się i ostrożnie dotknął skroni. - Chyba lepiej... co mi się stało? Nic nie pamiętam.

David pokręcił głową.

- Imperator próbował zniszczyć klan Skywalkerów, ale dostało mu się za samą próbę. Był na nas tak wkurzony, że wskoczył do głównego reaktora i rozsadził Gwiazdę Śmierci. Chyba miał do mnie pretensje.

- Zabiłeś go? - zdziwił się Luke, W sumie rzeczywiście niewiele pamiętał... jakieś skojarzenia. Walka... czy on z kimś walczył? Czy to może wspomnienia z Bespin?

- Nie - Dave wzruszył ramionami. - Sam miałem problemy. Szczerze mówiąc, wszystko zawdzięczamy Robo-Vaderowi.

- Komu? - Luke wydawał się kompletnie zagubiony.

- No, temu... czekaj, ty naprawdę nic nie pamiętasz? - Dave niespokojnie rozejrzał się wokoło siebie, jakby szukając pomocy. - Przypomnij sobie... No, spróbuj.

Luke przymknął oczy.

- Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, była nasza rozmowa na pokładzie widokowym. A potem... pustka. Jakieś niejasne obrazy. Nieba, chyba zaraz mi głowa pęknie!

Podniósł rękę do czoła i skrzywił się znowu. Miał wrażenie, że w głowie balują mu dwa tuziny AT-AT w pełnym uzbrojeniu.

David rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął do siebie, na chwilę zapominając o Luke'u. Megan wyjaśniła mu, że po takim wstrząsie należy się spodziewać różnych efektów, a mniej lub bardziej chwilowa amnezja jest jednym z nich.

Machinalnie wyciągnął rękę i dotknął skroni Luke'a, delikatnie usuwając ból. Nie mógł patrzeć na jego cierpienie... czy to skutek uboczny ojcostwa? Dobrze, że chłopak stracił pamięć, to, co przeżyli w rękach Imperatora, mogło naznaczyć go na całe życie.

Długo zastanawiał się, czy dobrze to rozegrał. Tylko przypadek sprawił, że wszystko zakończyło się szczęśliwie. W pierwszej chwili sądził, że uda mu się ocalić i siebie, i Luke'a. Potem chciał już tylko, żeby chłopak żył...

W ciągu tych kilkudziesięciu godzin, spędzonych przy synu i w towarzystwie córki, nieraz żałował swego pochopnego wyznania, uczynionego w wahadłowcu. Nieraz marzył, żeby wróciła radosna pewność, że jest nowym człowiekiem.

Leia często mu towarzyszyła, choć pochłaniała ją polityka. Czasem, kiedy po raz kolejny prosiła, żeby jej wszystko opowiedział, widział, jak oczy zachodzą jej mgłą. A przecież „sprzedawał” jej

tylko mocno obciążoną historię. Jakoś nie potrafił zdobyć się wobec niej na to jedno, jedyne wyznanie.

Bała się. Nie chciała, żeby Luke doznał głębszego urazu wskutek kontaktu z Imperatorem, choć gładko przełknęła fakt, że Dave próbował ocalić go, podstawiając siebie na jego miejsce.

Teraz miał szansę wszystko odkręcić. Niechby było tak, jak jest. Luke, jedyne obce świadki, nie pamięta, Megan i Yaro będą milczeli, a on sam... jeszcze jak!

Przymknął oczy, czekając, aż Luke pozbiera myśli. Przez kilka dni poważnie obawiano się o jego życie, gdyż wstrząsy elektryczne, jakim był poddany, okazały się wyjątkowo silne. Na szczęście młody organizm, Moc i nie całkiem naturalne pochodzenie energii w sumie pozwoliły mu zregenerować siły.

Nikt też nie ukrywał, że Dave uratował mu życie, przyjmując część energii.

Dave kątem oka spojrzał na eleganckiego, nieco zbyt wysokiego androida, który z niezmaconym spokojem porządkował zawartość szafek. Kevin, jak go nazwał po zdjęciu mu zienawidzonej obudowy, wyglądał teraz całkiem inaczej, a choć podstawowe oprogramowanie pozostało to samo, zmienił się w znacznej mierze zakres jego funkcji. Był teraz skrzyżowaniem adiutanta, przyjaciela i przenośnego komputera. Dave mógł mieć tylko nadzieję, że dość powierzchownie zaprogramowana osobowość Vadera nigdy już nie wylezie na wierzch.

Pomimo wszystko, był to jednak ten sam robot, który uratował im życie. Dziwna symbolika. Dopiero po jakimś czasie i po dłuższym zastanowieniu zrozumiał, że programując go, w pewnej mierze stał się również jego twórcą, a zatem robot uznał za stosowne bronić go tak, jak umiał. Była to najpowszechniej, najchętniej stosowana reguła programowania robotów - prawo, które nakazywało androidowi chronić i bronić swego twórcę.

Kevin nie mógł wprost zadać śmierci - tego nie może, a przynajmniej nie powinien móc żaden robot - ale mógł postawić Imperatora w sytuacji, która ostatecznie doprowadziłaby go do śmierci. Tak też uczynił, wyrzucając go do szybu jak wyjątkowo niebezpiecznego insekta. Całe szczęście, że w czasie programowania Dave nie pomyślał o zablokowaniu takiej możliwości. Dave? Coraz trudniej przychodziło mu myśleć o sobie jako o Davidzie Randallu. Nie pasowało mu to imię. To się zaczęło chyba w momencie, kiedy po raz pierwszy własnym ciałem osłonił Luke'a przed promieniami Mocy. Nagle przestał być klonem. Miał syna i córkę, za których oddałby życie. Stał się człowiekiem. Innym człowiekiem.

Anakin Skywalker.

Zbrodniarz. Morderca. Zdrajca.

Gdyby każdy zamordowany człowiek pozostawił na jego ciele kroplę swojej krwi, utonąłby już w jej morzu...

Jakie to szczęście, że może zacząć wszystko od początku, odrzucić tę tożsamość jak pustą skorupę, zapomnieć... Zapomnieć, za wszelką cenę zapomnieć.

Nie chciał pamiętać pełnych łez oczu Padme, pustego miejsca na podłodze po Obi-Wanie Kenobim, pustego miejsca w przestrzeni po Alderaan. Pustego domu, do którego wrócił, pustego łóżka, w którym spędzał długie, samotne godziny, pustego życia w skorupie zbroi Dartha Vadera.

Jestem David Randall, mogę być nawet Davidem Skywalkerem, klonem Anakina, prawie jego synem...

Bratem Luke'a i Leii, czystym, nieskażonym mordem i okrucieństwem.

- Hej, Dave, co z tobą? - Luke dość niezręcznie przerwał jego rozmyślenia. - Już mi lepiej. Pamiętam, że powiedziałeś mi, skąd się wzięło nasze podobieństwo... ale nie pamiętam, co to było.

Teraz! Teraz, tak łatwo powiedzieć mu prawdę. Tak łatwo skłamać...

- Jestem klonem twojego ojca, Luke - oznajmił Dave, czując, że nie jest w stanie powiedzieć nic

więcej. - To znaczy...

Urwał. Co to znaczy? Dokonał transferu osobowości Anakina Skywalkera do sklonowanego ciała, a więc jest Anakinem Skywalkerem, ciałem i duszą. Zmiana obudowy robota nie sprawi, że będzie innym urządzeniem. Można przenieść jego oprogramowanie do lepszego urządzenia, a i tak będzie to wciąż ten sam robot...

Więc i on nie jest nowym człowiekiem, tylko Anakinem Skywalkerem, zbłąkanym Jedi, który chciałby teraz naprawić wyrządzone krzywdy, ale nie ma komu, bo wszystkie ukochane osoby uśmiercił, bardziej lub mniej własnoręcznie.

I musi za to odpowiedzieć.

Podjął decyzję.

Jeśli Luke teraz odwróci się od niego, przyjmie to jak zasłużoną, choć bardzo bolesną karę.

- Jestem twoim ojcem, Luke. W nowym ciele, z nowymi poglądami na życie, ale jestem Anakinem Skywalkerem. David Randall był tylko moją próbą ucieczki od prawdy. To właśnie powiedziałem ci wtedy w wahadłowcu. O tym wiedział Imperator, kiedy chciał nas zabić.

Luke przymknął oczy.

- Anakin Skywalker... Mój ojciec... Nieba, nie mogę uwierzyć w to, że byłeś Darthem Vaderem. Wyczuwam w tobie tyle radości, tyle dobroci... - Obrócił głowę na poduszce, wyciągnął zdrową, lewą dłoń - Mogę cię dotknąć?

Anakin - nie David - skinął głową.

Błada, zimna dłoń otoczyła jego przegub. Przez chwilę siedzieli nieruchomo, wsłuchując się w dalekie echa Mocy. Nagle Luke mocno przyciągnął Anakina do siebie.

- Byłeś chory... - szepnął. - Tak, strasznie cierpiełeś. Czy to te cierpienia sprawiły, że nabrałeś nienawiści do całego świata?

Ich twarze znajdowały się o centymetry od siebie, oddechy prawie mieszały się ze sobą.

- Cierpienia, kłamstwa... Miłość, przyjaźń, dobroć... czy wszystko zawiodło? - szeptał gorączkowo Luke.

- Wszystko, Luke. Wszystko, z wyjątkiem...

Zaczął wyliczać te wyjątki: chwile radości z ukochaną żoną, przyjaźń z mistrzem, poczucie wspólnoty z resztą Jedi... gdzieś, w głębi serca poczuł nagle okropny, drażący ból, że to wszystko już minęło, że nic się nie da naprawić.

- To ja wszystko zniszczyłem - rzekł wreszcie. - Zawsze było mi za mało, zawsze chciałem nie tego, co mogłem dostać, lecz tego, co nieosiągalne. Gdyby nie zabronili mi żenić się z waszą matką, nie ożeniłbym się. Gdyby nie pilnowali mnie jak dziecka, pozwolili mi samemu walczyć z własną słabością i pychą, zamiast mnie od niej odcinać, wygrałbym wojnę o własną duszę. Złość, przekora, nienawiść. Po raz pierwszy zrozumiałem to w chwili, kiedy Leia powiedziała, że nie można nienawidzić wroga, za to że z nami walczy, bo my walczymy z nim dokładnie tak samo. Może nie ma racji, bo przecież chodzi także o metody, ale nikt zdrowy na umyśle nie walczy dla samej walki. Zawsze jest jakaś druga strona konfliktu, Luke. Mój błąd polegał na tym, że myślałem, iż to tylko ja cierpię.

Wyprostował się i wstał.

- Teraz odejdę, Luke - rzekł z bladym uśmiechem. - Spróbuję odkupić choć część zła, jakie popełniłem. Ty jesteś już prawie zdrowy, zresztą... tak będzie lepiej.

- Dokąd pójdziesz?

- Polecę na Dagobah.

Luke uniósł się na łokciu i uważnie spojrzął na przyjaciela... ojca?

- Ojciec... - wykrztusił (co za idiotyzm, on ma tyle lat, co ja!) - Znowu to robisz.

- Co? - Anakin przystanął obok okna, odchylił żaluzje. Pokój zalało światło słoneczne. Zmrużył oczy, rozkoszując się tym blaskiem... czy naprawdę na niego zasłużył?

- Znowu to ty decydujesz, kto najbardziej cierpi. Ocaliłeś mi życie, ocaliłeś rebelię... nie, Republikę.

- Nie ja - przerwał mu Anakin. - On.

Pokazał palcem na robota, który udawał, że nie słyszy. Może nie słyszał naprawdę.

- Ty - Luke powoli dźwignął się do pozycji siedzącej, podpierając się obu rękami opuścił stopy na podłogę. - Posłuchaj: nazwałem cię ojcem po raz pierwszy i ostatni, Nie dlatego, że cię nie kocham i nie uznaję, tylko dlatego, że to śmiesznie brzmi w stosunku do równolatka. Jako klon mojego ojca, jesteś moim krewnym, pierwszym... nie, drugim, jakiego mam. Wiem, że nie będzie łatwo. Przede wszystkim tobie. Nie zazdroszczę ci konfrontacji z Leią.

- Szczerze mówiąc, chciałem jej tego oszczędzić.

- Jej, czy sobie?

- Obojgu. Co innego żałoba po ojcu-renegacie, a co innego spojrzeć mu w oczy.

Luke zrobił dziwną minę.

- Tchórzysz.

- Tchórzę - zgodził się Anakin. - Sam przyznasz, że mam przed czym.

Odszedł od okna i z wahaniem wziął do ręki zieloną kurtkę, którą porzucił na stołku. Dopiero teraz Luke zauważył, że Anakin nie ubiera się na czarno, jak przedtem, lecz w stłumione, partyzanckie zielenie.

- Żegnaj, Luke - Anakin położył rękę na zamku. Spuścił głowę i przygryzł wargi. - Z czasem pewnie wszystko sobie przypomnisz... może wtedy lepiej mnie zrozumiesz.

Odwrócił się i otworzył drzwi.

- Hej, Anakin - usłyszał za sobą.

Obejrzał się. Luke siedział na kozetce, rozczochrany, blady. Oczy miał dziwne, ni to wilgotne, ni to błyszczące gorączką.

- Nie podasz mi ręki? - zapytał.

Wyciągnął dłoń - mechaniczną dłoń z uszkodzoną powłoką. Anakin zadrżał. To także jego dzieło. Kolejne dzieło. Żołądek podszedł mu do gardła, przez chwilę obawiał się, że narobi sobie wstydu i zwymiotuje, albo zemdleje. Powoli, bardzo powoli zbliżył się do Luke'a i ujął tę rękę. Poczłł chłodne, bioniczne palce, zamykające się wokół własnej dłoni.

Z żelazną siłą.

Próbował cofnąć dłoń, ale Luke tylko pokręcił głową.

- Nigdzie nie pojedziesz. Przestań już decydować za innych. Chcę, żebyś z nami został, Anakinie. Anakin uniósł brwi.

- Nawet TO mi przebaczysz? - zapytał. Chłodne palce na dłoni parzyły go w sensie fizycznym i psychicznym.

Luke przechylił głowę. Anakin znał tę manierę z lustra.

- Nie - odparł. - Dałeś mi dobrą nauczkę. Nie byłoby tej rozmowy, gdybyś w swoim czasie dostał taką samą.

Anakin skrzywił się lekko.

- Ależ dostałem... tylko nie wyciągnąłem z niej żadnych wniosków. Przepraszam: wyciągnąłem, ale całkiem niewłaściwie. Zdradziłem i pomogłem zniszczyć Jedi - ciągnął. - Zniszczyłem swoje

małżeństwo, Obi-Wana.

Luke uśmiechnął się pobłaźliwie, nie wypuszczając jego dłoni

- Chyba wyliczanie tego wszystkiego sprawia ci przyjemność? - zapytał. - Czy mam ci opowiedzieć, co czułem, wysadzając Gwiazdę Śmierci wraz z jej całą załogą? Czy mam ci wyjawiać moje myśli, kiedy zastałem spalony dom i zabitych Larsów? Jak bardzo chcesz to wiedzieć? Byłeś po Ciemnej Stronie i wróciłeś stamtąd, choć nie bez blizn i okaleczeń. Spróbuj teraz z tym żyć wśród innych ludzi.

Urwał nagle, z niedowierzaniem pokręcił głową.

- I ja to wszystko mówię? - uśmiechnął się. - Czy to znaczy, że jestem Jedi?

Anakin wzniósł oczy ku sufitowi.

- O, tak, synku - rzekł. - Jesteś Jedi. W najgorszym z możliwych wydaniu: filozofa.

Rozległo się ciche pukanie i przez szczelinę w półotwartych drzwiach wsunęły się dwie dziewczęce głowy: jedna jasna, druga ciemna.

- Można? Luke, już wstałeś? - Leia wsunęła się pierwsza i od razu podbiegła do Luke'a, żeby go uściskać. - Przyszliśmy po ciebie, Too-Onebee musi cię zbadać.

Megan weszła zaraz za nią i niezdecydowanie przystanąła pośrodku pokoju. Obie miały na sobie kombinezony służb naziemnych, były wreszcie domyte, uczesane i nawet lekko umalowane.

- Pokój wam służy, dziewczyny - zauważył Luke, wypuszczając z uścisku dłoni Anakina. Leia zauważyła ten gest, spojrzała najpierw na brata, potem na Anakina i zeszywniała lekko.

- Przeszkadzamy? - zapytała, lekko zmrożona tym, co wyczuła w powietrzu. Megan dalej stała nieruchomo, wbijając wzrok w Anakina. Pobladła, ale nic nie powiedziała.

- Anakin odchodzi - oznajmił Luke. - Chce się pożegnać.

- Kto? - Leia odskoczyła od brata, zerwała się na nogi i machinalnie otarła nagle spotniałe dłonie o kombinezon.

- On ma na imię Anakin - wtrąciła Megan z goryczą. - I bardzo chce odejść, jak widzę.

Spuściła głowę.

- Czy to prawda? - Leia podeszła do niego, wciąż nie kojarząc, nie chcąc kojarzyć faktów. - Rzeczywiście chcesz od nas odejść? I masz na imię Anakin? Jak... jak...

- Jak nasz ojciec - podpowiedział Luke. Nie chciał mówić nic więcej. Wierzył, że Anakin sam sobie z tym poradzi, ale nie był pewien, czy chce przy tym być.

- Czy to znaczy, że... odzyskałeś pamięć? - ostrożnie zapytała Leia, konsultując się wzrokiem z Megan, która już otrząsnęła się z pierwszego szoku.

- Nigdy jej nie straciłem... a szkoda - Anakin odwrócił twarz, żeby ukryć zmieszanie i postąpił krok w kierunku wyjścia. Leia zerwała się i przytrzymała go za ramię. Instynktownie czuła, że coś jest nie w porządku i bała się, że jeśli szybko nie opanuje sytuacji, stanie się coś złego.

- Megan, weź Luke'a do Too-Onebee, w końcu po to tu przyszłaś. Kevin ci pomoże - na widok stropionej miny Megan dodała szybko: - Nie martw się, nie wypuszczę go stąd... po moim trupie!

Rzeczywiście, ujęła Anakina za obie ręce i trzymała mocno, długo i uważnie wpatrując się w jego twarz.

- Zaczekasz tutaj, ze mną - powiedziała z powagą. Była piękna, odrobinę podobna do Padme, ale - paradoksalnie - bardziej dojrzała. Anakin umiał to docenić. Z bólem pomyślał, że nie dotrwał do dnia, kiedy Padme mogłaby tak wyglądać.

Mógł uwolnić się prostą, szybką sugestią, ale nie chciał. Wypił już swój kielich goryczy z synem

i teraz czuł, że musi przejść przez to samo z córką. Spuścił głowę.

Luke pozwolił się wyprowadzić bez protestu. Zachnął się dopiero wtedy, kiedy zobaczył nosze repulsorowe i stanowczo odmówił współpracy. Klócić jednak zaczął się dopiero na korytarzu. Wiedział, że nie pomoże ani Leii, ani Anakinowi. Za to miał większą szansę dotrzeć do Megan.

Leia starannie zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Ona także nie życzyła sobie towarzystwa w chwili, gdy - jak sądziła - przyjdzie jej szukać najbardziej wymyślnych argumentów, żeby zatrzymać Anakina. Chciała go zatrzymać... jeśli nie dla Luke'a, to przynajmniej dla Megan...

- Słuchaj, co ty wyprawiasz? - zapytała po krótkiej chwili, kiedy odgłosy dyskusji za drzwiami oddaliły się na dobre. - Dlaczego chcesz odejść? Czy to ma coś wspólnego z... Megan?

Potrząsnął głową.

- Uważasz, że po tym wszystkim, co przeżyliście z moim bratem, możesz sobie tak po prostu odejść? Potrzebujemy cię, Dave... Anakinie - powiedziała i nagle zdała sobie sprawę z tego, że próbuje go zatrzymać tak, jak kiedyś Hana, to znaczy czystą logiką bez cienia uczucia.

Wtedy jej nie wyszło. Trzeba było aż imperialnego ataku, żeby został...

Odeszła od drzwi, zaczęła spacerować po pokoju.

Anakin milczał. Ze dwa razy otwierał usta, żeby się odezwać, ale natychmiast je zamykał. Co ma jej powiedzieć? Księżniczko, jestem Darthem Vaderem, twoim tatusiem, który zszedł na złą drogę?

Odłożył kurtkę, którą od paru minut miał w dłoniach.

- Księżniczko, czy wierzysz w przebaczenie? - zapytał wreszcie.

Poderwała głowę, spojrzała na niego przenikliwie. Lekko zmarszczyła czoło.

- Nie - szepnęła. - Ale wierzę, że człowiek może odkupić swoje winy... jeśli bardzo tego chce.

Przesunęła dłonią po ścianie, skrzywiła się, kiedy jej dotyk pozostawił ślad na warstwie kurzu. Roztarła go w palcach, przyglądając mu się podejrzliwie. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy uznała, że już dość dokładnie wymieszała go z własnym potem, otrzepała dłoń.

Anakin podszedł bliżej, stanął tuż za jej plecami i delikatnie ujął ją za ramiona.

- A Darth Vader... czy i jemu dałabyś drugą szansę?

Skuliła się w sobie, jakby się na nią zamierzył. Przypomniawszy sobie tamto przesłuchanie... Cierpienie, jakie jej zadawał... Czego on tu w ogóle szuka? Przecież to ona pierwsza wyciągnie miotacz i...

- Darth Vader... - wyszeptała. - Mój ojciec... Da... Anakinie, czy wiesz, że na jego widok zawsze serce biło mi trochę mocniej... myślałam, że to ze strachu, z nienawiści...

- Nienawidziłaś go?

- Nie wiem... Bail Organa, mój przybrany ojciec, zawsze twierdził, że wojna to burza na styku dwóch punktów widzenia... - odsunęła się od niego, lekko potrząsnęła głową. - Nie... Nienawidziłam Tarkina, Jabby... ale jego chyba... nie.

Usiadła na kozetce, złożyła dłonie na kolanach. Obserwował ją uważnie spode łba.

- Opowiedz mi o nim... - poprosił.

- Ja? Tobie? - zdziwiła się lekko - Myślałam... że go znałeś.

- Jako klon niekoniecznie musiałem go znać. Opowiedz mi o nim? - usiadł obok niej i zajrzał jej w twarz. - Tylko tyle, ile sama wiesz.

Przymknęła oczy, jakby próbując sobie przypomnieć. Wiedział, że to nie tak. Na pewno pamięta dokładnie każdą ich rozmowę, każdą igłę wbity w jej ciało przez robota... każdą ich rozmowę... mniej lub bardziej przepełnioną nienawiścią, gniewem.

- Był... imponujący. To pierwsze słowo, jakie przychodzi mi na myśl. Groźny, onieśmielający... czyste zło, nie skalane groteską i śmiesznością. Na początku, kiedy jeszcze podlegał Tarkinowi, bałam się go... nie dla niego samego, ale właśnie z powodu Tarkina, który był kompletnym szaleńcem. Później, kiedy zaczął nas ścigać z powodu Luke'a, przestałam się go bać... zaczęłam bać się o Luke'a... myślałam wtedy, że go kocham, że będę w pewnej chwili zmuszona dokonać wyboru pomiędzy nim a Hanem... Wiesz, jak to jest, kiedy patrzysz wrogowi w twarz, wiesz, co on myśli, możesz przewidzieć sposób jego postępowania. W przypadku Vadera było inaczej. Czarna maska, potężna postać, znakomicie zaprojektowany kostium negatywnego bohatera - głos jej się załamał. - A potem dowiedziałam się... że Luke jest moim bratem... a on... moim ojcem.

Pociągnęła nosem. Nie wiedział, jak jej pomóc. Objął ją ramieniem i lekko przytulił do siebie.

- Luke nagle stał się całą moją rodziną... - szepnęła, opierając mu głowę na ramieniu. Poglądził ją po włosach, zastanawiając się, czy przeżyłby spotkanie z Hanem Solo, gdyby zostali przyłapani w tej pozycji.

- Kiedy ci o tym powiedział? Przez pewien czas zdawało mi się, że chciał utrzymać to w tajemnicy.

Potrząsnęła głową. Odsunęła się od niego, ale nie zaprotestowała, kiedy ją wziął za rękę. Przeciwnie, nakryła jego dłoń swoją, delikatnie skubiąc końcami palców skórę na grzbiecie jego ręki.

- Nie... kiedyś, wieczorem, wydawał mi się bardzo poruszony. Mówił, że czuje niepokój, że Imperator go poszukuje.. i pewnie go znajdzie, a wtedy pozostanie tylko ta jedna, ostatnia szansa dla Jedi... ja! Jakbym ja mogła być Jedi! - zaśmiała się z goryczą. - Wtedy też uświadomił mi, że Vader jest również i moim ojcem...

Znów się roześmiała, tym razem tak nerwowo, że zabrzmiało to prawie jak szloch. Wciąż wydawało się, że nie ma odwagi wyprostować pleców.

- Nie spałam przez całą noc i kilka następnych... bałam się - mówiła dalej przyciszonym głosem, ale nie szeptem, jakby obawiała się, że szept zdradzi jej wzruszenie. - Wtedy znów zaczęłam się bać Vadera. Bałam się, że wytropi mnie Mocą, trafi przeze mnie do bazy rebelii... nie wiedziałam, czy nie powiedzieć o tym Mon... ale Luke mówił, że im mniej osób wie, tym lepiej. Nagle Vader stał się dla mnie... groźny.

- On nie wiedział o twoim istnieniu - rzekł Anakin ze ściśniętym gardłem.

Jak jej powiedzieć?

- To dobrze - odparła bez przekonania, nisko pochylając głowę.

- Oszalałby z radości, gdyby wiedział...

Znieruchomiała. Podniosła na niego wzrok i mocno zacisnęła palce na jego dłoni. Lekko zmarszczyła czoło - zdążył już przyzwyczaić się do tego nie całkiem grymasu. Nie wiedział, co myśli... nie chciał wiedzieć.

- Dave... - z przyzwyczajenia nazwała go jego dawnym imieniem. - Dave... czyim ty jesteś klonem?

Otworzył usta i znów nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Nie nalegała.

- Niech zgaśnie... - jej głos stał się nagle lodowaty, przerażająco bezosobowy. - Jesteś klonem Dartha Vadera...

Pociemniało mu w oczach. Nigdy nie przypuszczałby, że tak szybko na to wpadnie. Nie mógł

zaprzeczyć... nie mógł jej już nawet okłamać.

- Zgadza się? - zapytała stłumionym głosem. - Nawet nie próbuj kręcić. To przecież oczywiste... to podobieństwo nie jest przypadkowe...

Anakin zacisnął pięści, prawie miażdżąc jej palce.

Syknęła z bólu, wyrwała mu jedną rękę, wsunęła pod pachę, żeby rozmasować ból. Nie spuszczała z niego wzroku, przygryzła tylko dolną wargę.

Skinął głową.

Westchnęła głośno, wstrzymała oddech.

- To nie wszystko, Leio - rzekł, patrząc na nią błagalnie. - Mam również jego osobowość, pamięć... Jestem nim. Dzięki Yaro i Megan dostałem nowe ciało... ale to jednak ja.

Pokręciła przecząco głową, jakby nie chciała w to uwierzyć. W dniu, kiedy zaakceptowała Darthę Vaderę jako swego ojca, nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek stanie z nim twarzą w twarz. Teraz nie wiedziała: śmiać się czy płakać. Nie potrafiła połączyć tej ładnej, młodzieńczej twarzy z maską Mrocznego Lorda Sithów, nie rozumiała własnych uczuć.

„Tak pięknie jest cierpieć i przebaczyć prześladowcy, kiedy umiera... „pomyślała. „Tak trudno jest odnaleźć to uczucie, kiedy staje się z nim twarzą w twarz...”

Oplakała ojca, który tkwił w skorupie Vadera, uroniła nawet łzę na cześć godnego przeciwnika, którego traciła. Zło z klasą...

A teraz siedzi i patrzy w szaroniebieskie oczy Darthę Vaderę, młodszego o dwadzieścia parę lat, bardzo smutnego i bardzo... nieprawdziwego?

Okłamał ją. Dopiero teraz zrozumiała, co naprawdę wydarzyło się na Gwieździe Śmierci. Do tej pory wiedziała tylko, że poddali się obaj, że Imperator zmusił ich do walki o miejsce u jego boku i że straszliwie zemścił się na nich za to, że markowali.

Teraz połączyła wszystko w całość. Zrozumiała.

- Chciałeś wymienić siebie za Luke'a... - wyszeptała.

- Nie - odparł równie cicho. - Chciałem go zabić, gdyby choć musnął Ciemną Stronę. A potem zginąć wraz z Imperatorem.

Zerwała się z miejsca jak oparzona, cofnęła się o kilka kroków, wyciągnęła dłoń za siebie i namacała ścianę. Przez chwilę mierzyła wzrokiem dzielącą ich odległość, jakby nie była pewna, czy taka wystarczy. Z ulgą przyłgnęła do plecami do zimnego durabetonu i przymknęła oczy.

- Dlaczego nie powiedziałeś? - szepnęła po chwili, kiedy już sięgnął po kurtkę i zamierzał wyjść. - Dlaczego mnie okłamałeś? Dlaczego okłamałeś Luke'a?

- Luke wiedział o wszystkim... Powiedziałem mu, zanim poddaliśmy się Imperatorowi. I teraz powiedziałem mu to jeszcze raz... choć miałem ogromną ochotę nie mówić i samemu zapomnieć...

Leia nie odpowiedziała. Odchyliła głowę w tył i przymknęła oczy. Po twarzy ściekła jej jedna łza, potem druga. Patrzył na nie w milczeniu, kręcąc głową. Wreszcie nie wytrzymał, podszedł i delikatnie, koniuszkami palców, starł kropelki wilgoci z jej twarzy.

- Wybacz - szepnął. - Wybacz, że nie umiałem ci tego powiedzieć inaczej... Kocham cię. Żegnaj...

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, starannie zamykając je za sobą.

Oparł się ramieniem o ścianę - nie miał siły iść dalej. Nagle stracił całą energię. Rozmowa z Leią zrujnowała go psychicznie. Teraz - jak zranione zwierzę - rzeczywiście tęsknił tylko za samotnością. Poczł nagle ogromną chęć, żeby się rozplakać, upić, rozbić sobie głowę, byle nie czuć pod palcami tych łez...

Drzwi za jego plecami otwały się cicho. Nie podnosił głowy, sprężył się tylko w sobie, żeby wytrzymać kolejny atak nienawiści i bólu. Bo przecież... musiała go nienawidzić, za te wszystkie zbrodnie, za wszystkie cierpienia, za wszystkie kłamstwa?

- Anakin... - delikatna dłoń spoczęła na jego ramieniu, szczupłe palce zacisnęły się lekko na grubej tkaninie. - Anakin... nie odchodź... Proszę. Ty nie jesteś...

- Jestem, Leio... - wykrztusił przez ściśnięte wzruszeniem gardło. - Jestem Darthem Vaderem, największym zbrodniarzem w historii i muszę za to odpokutować.

Machinalnie musnął ją po twarzy grzbietem dłoni i odszedł szybko, nie oglądając się za siebie.

- Anakin! Wróć! - krzyknęła za nim i głos jej się nagle załamał - Ojczy...?

Stał jak wryty w pół kroku. Jedno słowo, wypowiedziane cieniutkim, prawie dziecięcym głosem... Spodziewał się strzału w plecy z miotacza, ale nie tego.

Obejrzał się, pomimo mocnego postanowienia, że tego nie zrobi.

Stała w drzwiach z twarzą ukrytą w dłoniach - ciemna sylwetka na tle jaskrawo świecącego trapezu - i powoli opadała na klęczki, jakby ten wysiłek, to jedno słowo kosztowało ją zbyt wiele.

Podbiegł do niej, rzucił się na kolana i zaczął delikatnie podnosić ją na nogi, gładząc po głowie i ocierając jej łzy... Paliły go jak ogień... jak sztuczna dłoń Luke'a...

Objął ją ramionami, przytulił i pozwolił, żeby wypłakała się w rękaw jego bluzy. Zastanawiał się, czy to wzruszenie, strach, gniew... a może żal?

- Hej, Księżniczko - szepnął jej w ucho, odgarniając falę lśniących włosów... tak podobnych do włosów Padme... Delikatnie ujął ją palcem pod brodę i skierował jej twarz ku światłu padającemu ze szpary w drzwiach. Znow otarł jej łzy. Miał ogromną ochotę ucałować ten mokry policzek... ale zabrakło mu odwagi.

- Niech Moc będzie z tobą...

Ta sama siła, która sprawiła, że pomimo własnych ran i oparzeń spędzał przy łóżku nieprzytomnego Luke'a całe dni i noce, teraz dodała mu energii, żeby odsunąć się od Leii i odejść tak szybko, jakby gonił go oddział szturmowców.

Kiedy w piętnaście minut i dziesięciu oszołomionych rebeliantów później wznosił się w niebo pionową świecą, tym samym wahadłowcem, którym uciekł z Gwiazdy Śmierci, on także miał mokrą twarz...

- Anakin! - rozległ się nagle głos z interkomu. - Anakin, wróć!

- Luke... Niech Moc będzie z tobą... - wyszeptał i uśmiechnął się do siebie. Nie czekał, aż zaczną wołać go wszyscy: Leia, Kevin, Megan...

Zwłaszcza Megan... Jak jej wytłumaczyć, że nie jest już Davidem Randallem? Że zadziałało prawo robotyki i ten sam program w innej obudowie wciąż pozostaje tym samym robotem?

Wyciągnął rękę i delikatnie, ale zdecydowanie zamknął kanał łączności, po czym wprowadził do komputera koordynaty systemu Dagobah...

Znow był sam.

Coś dotknęło krawędzi jego świadomości, coś próbowało do niego dotrzeć... Nie po raz pierwszy zresztą, choć dopiero teraz wyczuł, że to nie dzieci ani Megan.

Dotknięcie było słabe, skażone cierpieniem...

Przymknął oczy i pogрузzył się w medytacji. Nawet nie wiedział, kiedy osunął się na oparcie fotela. Otaczała go Moc. Jak miękka, ciepła wata, pełna tajemniczych, stłumionych dźwięków i

błysków, otulała go subtelną, ledwie wyczuwalną warstwą, rozstępującą się pod dotykiem palców myśli.

Unosił się w złocistej chmurze, purpurowe obłoki słały mu się od stopami, złociste iskry wirowały wokół niego jak gwiazdy... a może to były gwiazdy...

Sięgnął głębiej, ku najcieplejszym, najbardziej miękkim rejonom kokonu Mocy i dotknął tego czegoś, co w jego umyśle wydawało się rozszarżonym do białości, lecz przyjemnie ciepłym w dotyku jądrem blasku...

Luke...?

Jasność zapulsowała, zalsniła, otoczyła się zielonkawą poświatą.

Ojcze... Anakin!

Cofnął się gwałtownie, jakby bał się tego dotknięcia, ale zielonkawe smugi światła dosięgły go i pochwyciły w mocny, ciepły uścisk. Pozwolił otoczyć się zieleni, ukołysać...

Anakin! Anakin!

Unosi się w przestrzeni, kołysząc łagodnie... Jest blisko... za tamtym obłokiem znajdzie odpowiedź na swoje pytanie... Zrzuca z siebie zieloną mgłę jak płaszcz, sięga dalej, dalej, gdzie kolorowe i szalone wiry cichną i bledną...

Ciemność... W głębi, w samym jądrze mroku, czeka na niego ta nie-iskierka, ta okruszyna nie-światła, którą się stał... którą był zawsze...

Anakin... Anakin Skywalker.

- Ty? - zdumienie nie ma barwy, ale Anakin cierpliwie splata luźne włókna myśli w słowa... - Czego chcesz?

Jesteś mój... Jesteś... mną. Oddaj mi moje ciało!

- Dave?

Nie... chrapliwy śmiech, pełen goryczy i bólu. Nie... Nie poznajesz...?

Nie-światło dotyka go, jakby chciało wchłonąć. Anakin próbuje walczyć, ale łagodne, pełne skruchy muśnięcia usypiają na chwilę jego czujność...

Przyjrzyj się... Anakinie...!

Ciepło... Miętko... Delikatnie... Blask...Mżenie... Pod przymkniętymi powiekami gromadzi się mrok, miękki, aksamitny mrok... dlaczego boli? Dlaczego czuje taki dziwny, niezrozumiały ból w okolicy ramion... piersi...?

Podąża za tym bólem, szukając ulgi... lub raczej nie ulgi, tylko samotności, żeby ciemny, przerażający kształt, który przesłonił mu światło Mocy nie dosięgnął jego syna...

Oddaj mi to ciało! Muszę je mieć! Zabrałeś mi je, zabrałeś moje wspomnienia, moje życie...

- Przecież żyjesz we mnie... Jesteś częścią mnie - zaoponował Anakin.

Nie... Ja umarłem... Nie jesteś mną bardziej, niż zapisany w memo-chipie głos osobą jego właściciela... Ale teraz wrócę...

Mroczne ramiona zamykają się wokół niego... ciemne palce dotykają jego skroni... wpijają się w mózg.

- Zostaw! Puść mnie...!

Oddasz... Oddasz mi ciało...

- Nie jest twoje! Wspomnienia... proszę, bierz je sobie. Są dla mnie ciężarem, cierpieniem! Pokutuję za twoje zbrodnie, twoją zdradę. To twoje dzieci patrzyły na mnie jak na zbrodniarza, twoją żonę oplakałem! Omal sobie nie odebrałem życia, tak mnie zżerały wyrzuty twojego sumienia! A

teraz próbuję wszystko naprawić - i co, dalej uważasz, że ciało należy do ciebie?

Milczenie. Wahanie. Ból.

Ja także wiem, co to jest cierpienie... akurat tego zawsze miałem pod dostatkiem... włącznie z ostatnią próbą oszukania losu. Łagodny smutek zajął miejsce agresji. Pojawiła się nadzieja - ta sama, którą pamiętał sprzed transferu. Myślisz, że potrafisz...?

- Pracuję nad tym, stary. Nie spocznę, dopóki nie załatwię ostatniej sprawy. Bądź tego pewny... To także w pewnym sensie i moja przeszłość.

Pozwól mi wrócić... na chwilę. Chciałbym spojrzeć na moje... dzieci własnymi oczami...

Spryciarz... a może niekoniecznie... W końcu to jego decyzja. Anakin cofa się w najciaśniejszy kącik własnej świadomości, robiąc miejsce tamtemu...

Czuje, jak mrok wsącza się w niego, rozsadza...

Jego dłonie bezwiednie zamknęły się na drążku sterowym, ściągnęły go ku sobie, ostrym łukiem wprowadzając statek w karkołomną pętlę. Wahadłowiec wykonał klasyczny zwrot przez ogon i pełnym pędem ruszył z powrotem w kierunku bazy rebeliantów.

Anakin nie widział zielonkawej plamy na ekranie, nie widział szarej betonowej płyty, która nagle eksplodowała w polu widzenia. Pokręcił głową i uśmiechnął się blado.

- Myliłem się - wymamrotał sennie. - On... istnieje.

Potężny huk i słup ognia wstrząsnął lądowiskiem.

Luke gwałtownie podniósł głowę znad pulpitu i rozszerzonymi oczami spojrzał na Leię, która zamarła z półotwartymi ustami i dłonią ociekającą wodą, która wyskoczyła z kubka.

- Anakin... nie żyje - wyszeptał.

I niech już tak lepiej zostanie, przemknęło mu przez głowę. Nie był pewien, czy to naprawdę jego własna myśl...

K O N I E C